PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 650

nadodrze

ZIELONA GÓRA 7 — 20 VIII 1988 R.
ROK XXXII NR 16 [673] CENA 40 ZŁ
DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Historia jednego samobójstwa

MIŁOŚCI PRAWDZIWEJ SZUKAM U BLONDYNKI

ZACZĘŁO SIĘ W NOWEJ SOLI

Wspomnienia sekretarki

SCENY miłosne

KONKURS • WAKACYJNY

Wielka szansa

RYSZARD ROWIŃSKI

Nasze stosunki z najbliższymi sąsiadami, jak długo Polska Ludowa istnieje, pomijając rzadkie incydenty, były zawsze pełne oficjalnej serdeczności. Ze względu na to, że wschodni sąsiad jest rzeczywistą światową potęgą, propaganda nasza, w której nie zawsze bywamy mistrzami, usiłowała wszystko co z tamtej strony pochodzi, rzeczy materialne i duchowe, przedstawić nam jako jedyne i najlepsze.

— Być może — mówiono, samochód zaporożec jest w sensie technicznym i ekonomicznym przestarzały, ale w ojczyźnie Forda biją Murzynów.

Każdy przywódca tego zaprzyjaźnionego kraju, jaka by jego osobowość nie była, Józef Wisarionowicz, Nikita Sergiejewicz, Leonid Iljicz, Andropow, Czernienko, mieli u nas równą, oficjalną popularność. I jest to zrozumiałe, zważywszy nasze narodowe interesy, układy, międzynarodowe sytuacje.

Co o tym wszystkim myślała polska opinia publiczna, to całkiem inna sprawa. Często wyrażała swoje stanowisko antyradzieckimi dowcipami. Dwutorowość opinii, sprzeczność między oficjalną i nieoficjalną, z samej swej natury ma charakter stresujący. Zaś w dłuższym przedziale czasowym grozi polityczną schizofrenią.

Historia stosunków polsko-rosyjskich nigdy nie była prosta. Bywaliśmy jako napastnicy w Kijowie i w moskiewskim Kremlu. Zaś wieki ostatnie to dla nas rozbiory, krwawe powstania, zsyłki, rabowanie. Wszystko to zostało zakodowane w zbiorowej pamięci.

Nieprzenikalny mur między dwoma sąsiednimi, bratnimi słowiańskimi narodami wzniósł potworny system carski z jego czynownikami i stupajkami. Z powodu tego właśnie systemu wspaniałe cechy narodu, ludu rosyjskiego, jego talenty, pracowitość, niezmierna gościnność, serdeczność, tolerancja, otwartość na walory innych kultur, odpłacanie dobrem za dobro, to wszystko do nas Polaków nie docierało.

Okres międzywojenny, w sensie kontaktów gospodarczych zupełnie zmarnowany wyłącznie z naszej, polskiej winy, budował narodową ideologię na antysowietyzmie. Żeromski, niepodważalny autorytet duchowy Polaków, był niszczony za jedno zdanie: — „miejcie odwagę Lenina". Wybitny polski reporter Melchior Wańkowicz, żaden przecież lewicowiec, za obiektywizującą książkę o nieopierzonej rewolucji dostał takie cięgi krytyczne, że pamiętał o nich do końca swoich dni.

Z tamtej strony mieliśmy podobną reakcję. Wypowiedź Mołotowa o Polsce jako o bękarcie Wersalu, która nareszcie przestała istnieć, bynajmniej nie była indywidualnym wybrykiem. Ta opinia miała oparcie w zapleczu społecznym. Jeśli mówię o antyradzieckich nastrojach pokutujących w niektórych kręgach społecznych, zwłaszcza kołtuńskich, funkcjonujących nie tylko pod kioskiem z piwem, w kruchcie, ale w czcigodnych prezydiach, po cichu w niektórych egzekutywach, to pamiętajmy, że kołtun jako taki, nie jest polską własnością, ma on charakter uniwersalny i funkcjonuje także w Związku Radzieckim. Radziecki kołtun żywi się także antypolskością.

Myślę, że wspólna polsko-radziecka komisja historyków zajmująca się badaniem białych plam w naszej wspólnej najnowszej historii, może wykonać pracę niezmiernie ważną dla higieny psychicznej naszych narodów. Może oczyścić powietrze, którym wspólnie oddychamy. Jednak taka komisja z jej całym poczuciem odpowiedzialności, zrozumieniem wagi powierzonej jej misji, nie składa się z cudotwórców. Białe plamy zagospodarowane pełną prawdą, jak bolesna by ona nie była, nie uczynią automatycznie przyjaźni polsko-radzieckiej czystym ideałem. I nie dlatego, że ideałów czystych na tym świecie nie ma.

Posłużę się tu być może nieco demagogicznym przykładem: czy w stosunkach Francji ze Stanami Zjednoczonymi historia pozostawiła jakieś bagaże, rachunki do wyrównania, krzywdy? Odpowiedź na takie pytanie jest negatywna. Stosunki między Francją a Stanami Zjednoczonymi były zaw-

Ciąg dalszy na str. 4

Nowo wybrane rady narodowe rozpoczęły kadencję w nie najlepszym okresie. Pełnia lata, urlopy, wakacje. Na termometrze trzydzieści stopni. Komu się chce siedzieć godzinami w sali i głowić nad sprawami, które od dawna wydają się nie do załatwienia? A spraw takich w miastach i wsiach województwa zielonogórskiego oraz w samej Zielonej Górze jest przecież mnóstwo!

Z nadzieją na chrupiące bułeczki

HALINA AŃSKA

Największą bolączką, która w dodatku wciąż narasta, jest brak mieszkań. Rozwój poszczególnych dziedzin życia społecznego, funkcjonowanie fabryk, szkół, szpitali, słowem — wszystko uwarunkowane jest mieszkaniami. Człowiek aby żył i pracował, musi gdzieś mieszkać.

W kraju co roku przybywa pięć nowych mieszkań na każdy tysiąc mieszkańców. Czy może być pocieszające, iż w województwie zielonogórskim na każdy tysiąc głów mamy co roku sześć mieszkań?

Że budujemy trochę szybciej niż inni, a także — podobno — trochę taniej, to fakt. Ambicją nowej Wojewódzkiej Rady Narodowej będzie spowodowanie jeszcze większego tempa budownictwa mieszkaniowego i osiągnięcie ośmiu mieszkań rocznie na tysiąc obywateli.

Drugi z kolei pakiet spraw uznanych za najważniejsze, dotyczy przetwórstwa rolniczego i spożywczego oraz zaopatrzenia rynku. Obecna sytuacja w zielonogórskim handlu jest, krótko mówiąc, fatalna. Paranoiczne kolejki po kostkę margaryny. Czekanie godzinami, aż „rzucą" olej.

Jeśli w rodzinie nie ma babci-emerytki, zdrowej i chętnej do biegania po sklepach, można sobie skreślić z jadłospisu np. żółty ser. Wszędzie na świecie jest pod dostatkiem po 200-300 gatunków żółtego sera. U nas ser ten jest rarytasem.

Zniknęły białe twarogi o różnych smakach. Jajka są wyłącznie nieświeże. Mleko się warzy. Dawno zresztą minął czas, gdy było ono gwarancją zdrowia. Teraz raczej nie należałoby zachęcać dzieci do picia mleka...

Od dawna nie ma mąki ziemniaczanej, a mąka tortowa i krupczatka sprzedawane są tylko znajomym, spod lady. W sklepach rybnych jedyne co jest zawsze, to — delikatnie mówiąc — zapach. Jaki, wolę nie określać. O chlebie zielonogórskim nawet nie wspomnę. Oczywiście nie wymieniłam wszystkich braków, na które natykamy się co dzień.

I oto dowiaduję się, że jest możliwość poprawienia tej sytuacji! Z pewnością nie w sposób całkowity i radykalny, ale są pewne widoki na lepsze. W Wolsztynie buduje się mleczarnię. Urządzenia zostały zakupione w Danii. Będziemy mieć własne mleko w proszku i sproszkowaną serwatkę. Część urządzeń ruszy już za kilka miesięcy. Całość — za trzy, cztery lata.

Żeby tylko.., krowy były zdrowe i dawały dużo mleka. Bo w końcu od nich wszystko się zaczyna! I żeby ludziom chciało się (czytaj: opłacało) je hodować.

Informacja z maja br.: w oleju „drgnęło"! Winiarnia zielonogórska uruchomiła rozlewnię — i każdego dnia z taśmy zjeżdża 180 litrów tego tak poszukiwanego płynnego tłuszczu. Począwszy od 1 maja br. co miesiąc do zielonogórskich sklepów trafia łącznie 110 ton oleju. Mimo to butelek stojących na półkach jakoś nie widać. Zła dystrybucja? Wykupywanie przez klientów na zapas?

Być może jedno i drugie. Podobno w Nowej Soli jest taki sklep, w którym oleju nigdy nie brakuje. Ale nie chce mi się w to wierzyć. Tak czy owak, zaopatrzenie sklepów — tak w olej, jak w inne tłuszcze roślinne, jest anormalne.

Przez całe lata wbijano społeczeństwu do głowy, że smalec, to pewna miażdżyca, a masło, to cholesterol. Kto chce być zdrowy i długo żyć, ten niech jada wyłącznie tłuszcze roślinne. Jak to teraz odkręcić?

Winiarnia w Zielonej Górze przymierza się do budowy chłodni. Spółdzielnia Produkcyjna we Wroniarach — do budowy zakładu utylizacyjnego. W Kożuchowie już na ukończeniu jest przetwórnia owoców.

To tylko trzy spośród jaskółek, które mają nam uczynić wiosnę. Jedno można powiedzieć z pewnością: że nastaje dobry czas dla małych zakładzików. Małe przetwórnie rolne i spożywcze mogą liczyć na preferencję w bieżącej kadencji rad narodowych.

Trzeci spośród tematów, które w najbliższych czterech latach znajdą się na pierwszym planie, to ochrona środowiska. Wysuwa się zasadnicza rola spółek wodnych i wodno-ściekowych. Będą one budować własne oczyszczalnie. Każde nowe ujęcie wody, każdy wodociąg w miasteczku czy wsi, musi być planowany i realizowany łącznie z oczyszczalnią.

Jest to w skali województwa zamierzenie duże i kosztowne. Poza tym — skąd brać oczyszczalnie? Jak się okazuje, Państwowy Ośrodek Maszynowy w Kisielinie koło Zielonej Góry w dalszym ciągu szczęśliwie wytwarza te urządzenia. Oczyszczalnie kisielińskie mają wydolność 150 metrów sześciennych na dobę. Są niewielkie i łatwe do dostosowania w różnych warunkach. Dwie takie oczyszczalnie dostatecznie spełniają swą rolę w Drzonkowie, o czym już pisałam przy innej okazji.

Ochroną środowiska, poza wodą, objęta być musi ziemia ze wszystkim co na niej jeszcze rośnie — oraz powietrze. Strach pomyśleć, czym oddychamy. Życiodajny tlen wypierany jest z powietrza przez składniki trujące — nie będę już wymieniać jakie. Brudne powietrze powoduje, że nasilają się choroby płuc.

W centrum Zielonej Góry, nota bene właśnie tu, gdzie mieszkam, jak wykazują badania, powietrze jest nie mniej skażone, jak w przemysłowej Łodzi, czy wśród kopalń i hut Śląska.

Ratunek — w drzewach i zieleni. Lecz drzewa i zieleń, niestety, przestały być oczkiem w głowie. Bezlitośnie trzebione są lasy. To, co w samej Zielonej Górze zostało jeszcze zielone, jest, poza parkiem i okolicami amfiteatru, jedynie dekoracją.

A przecież to za mało dla ponad stu tysięcy płuc! Jest to temat alarmistyczny dla miejskich i wojewódzkich rajców.

Skażona woda, chora ziemia, skażone powietrze. Jak w takiej sytuacji mówić o zdrowiu? O jakiejkolwiek profilaktyce? Jeśli nie poprawią się warunki naturalne środowiska, w którym człowiek żyje, nie pomoże nawet dziesięć szpitali!

Ciąg dalszy na str. 4

opinie i refleksje

Wzorem Afganistanu

W Angoli byłem dwadzieścia lat temu czyli w zamierzchłej epoce. Ten kraj, czterokrotnie większy od Polski, zamieszkały przez niespełna pięć milionów ludzi, w tym około sto tysięcy Portugalczyków, stanowił zamorską posiadłość Portugalii, po prostu jej kolonię. W Benfice Lizbona grał wtedy słynny Eusebio, pochodzący wprawdzie z Mozambiku, ale i w Angoli uważany za swego. Po Luandzie spacerowały przepiękne Mulatki. Czarni i biali policjanci kierowali ruchem ulicznym a w porcie zdominowanym przez białych pracowników ładowano na europejskie statki, także i na nasz „Lublin", tysiące worków z kawą. Ale już kilkadziesiąt kilometrów od stolicy, w przepastnej zieloności, do której strach wejść nawet obutą nogą, toczyły się wojny. Jedna z armią portugalską o niepodległą Angolę, druga o to, jaka będzie Angola, kiedy przestanie być portugalską.

Ruch partyzancki podzielił się na trzy organizacje. Lewicową, ludową MPLA założył wybitny poeta, późniejszy, pierwszy prezydent Angoli — Agostinho Neto i ona to korzystała z pomocy ZSRR i Kuby. Front Narodowy dla Wyzwolenia Angoli czyli FNLA był dziełem Hildena Roberto, bodajże zięcia Mobutu, prezydenta Zairu, dawniejszego belgijskiego Konga, który tam zresztą pracował w firmie prowadzonej przez Belgów. Wreszcie potężny, barczysty Jonas Savimbi, syn urzędnika kolejowego, dziś prywatnie rozmawiający z niektórymi szefami rządów państw zachodnich, zorganizował „trzecią siłę" czyli UNITĘ, popieraną przez bogatych Portugalczyków, którzy chcieli oderwać się od Portugalii i stworzyć własną, rządzoną przez białych Angolę. Wszystkie te organizacje na początku 1975 r. w Alvor, portugalskiej miejscowości wczasowej, podpisały umowę o utworzeniu rządu koalicyjnego, kiedy tylko Portugalczycy opuszczą Angolę a po zwycięskiej „rewolucji goździków" było to już tylko problemem technicznym, jak zwykł mawiać pewien dyplomata.

Wkrótce też powstał tymczasowy rząd koalicyjny który po kilku miesiącach rozpadł się, bo Roberto i Savimbi nie chcieli zgodzić się na socjalistyczne reformy proponowane przez Agostinho Neto. Wtedy to MPLA wywiesiła w Luandzie swoją flagę i proklamowała, nie oglądając się na pozostałych, Ludową Republikę Angoli. Wszyscy, wymuszeni, także przez Portugalczyków, partnerzy, stali się śmiertelnymi wrogami. Na ludową Luandę zaczęły ciągnąć zbrojne oddziały UNITY i FNLA wspomagane i popierane militarnie przez Republikę Południowej Afryki, która nie chciała mieć komunizującego sąsiada. I to były te dni, kiedy wojna domowa w Angoli nie schodziła z pierwszych stron gazet. Kiedy godziny młodziutkiej Republiki wydawały się być policzone, do boju wkroczyli przywiezieni statkami do Luandy kubańscy ochotnicy i oni, co do tego niewielu dziś ma wątpliwość, uratowali i MPLA, i Ludową Angolę. Ten fragment wojny w Angoli znamy z doskonałych opisów Ryszarda Kapuścińskiego i Gabriela Garcii Margueza. Także innych. Wydawało się, że w tej części świata nastanie pokój.

Były to jednak nadzieje płonne. FNLA, który w niektórych latach wydawał się przewyższać militarnie MPLA, po klęsce pod Luandą rozpadł się, natomiast UNITA wspomagana przez RPA rozrosła się, jak na warunki afrykańskie, w dużą, nie tylko militarną, siłę. Kontroluje ona dziś jedną trzecią terytorium Angoli, jest dobrze uzbrojona dzięki USA i RPA. Oprócz wojsk regularnych, posiada silnie rozbudowane w niektórych okręgach oddziały partyzanckie. Według wielu ekspertów siły UNITY są równe siłom Republiki i żadna ze stron nie może liczyć na zwycięstwo militarne. Wojna w Angoli toczy się już blisko trzydzieści lat, pochłonęła tysiące ofiar, wielu straszliwie okaleczyła. Niektóre rejony kraju bogatego w surowce, nie do końca jeszcze odkryte, zamieniła w ruiny i pogorzeliska. Wydaje się, że wszyscy tą wojną są zmęczeni, mają jej dość.

Po podpisaniu układów genewskich w sprawie Afganistanu, zarysowała się perspektywa zakończenia i tego konfliktu. Na niedawno zakończonym w Nowym Jorku spotkaniu delegacji Angoli, Kuby, RPA i USA przyjęto ważny dokument „o zasadach pokojowego uregulowania sytuacji na południu Afryki", a może to nastąpić jedynie po wycofaniu się wszystkich obcych wojsk z Angoli i przyznaniu niepodległości Namibii, kontrolowanej przez RPA.

Zwraca się uwagę, iż poparcie ZSRR ułatwia mediacyjne działanie USA. *„Jest widoczne* — powiedział niedawno Chester Crocker, zastępca sekretarza stanu USA do spraw afrykańskich, który przewodniczył pozolorskim rozmowom — *że my i ZSRR uważamy, że ta trudna sprawa regionalna powinna być rozwiązana".*

JACEK WOCH

Z prasy radzieckiej

Historia jednego samobójstwa

Niedawno tygodnik OGONIOK opisał jak doszło w 1979 r. do samobójstwa gen. Kryłowa, wysokiej rangi funkcjonariusza Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSRR, człowieka o wybitnych zdolnościach naukowych i organizacyjnych. Sprężyną tych tragicznie zakończonych wydarzeń był zięć Leonida Breżniewa, Jurij Czurbanow, ówczesny I-szy wiceminister Spraw Wewnętrznych, aresztowany w 1987 r., który wkrótce ma stanąć przed sądem pod zarzutem korupcji i nadużywania władzy.

Zamieszczamy fragmenty tego tekstu.

... Był to (Jurij Czurbanow — dop. red.) nędzny typ. Człowiek jeszcze młody, bez jakiegokolwiek wykształcenia, rozwiązły, pogardzający wszystkimi wokół, który nagle otrzymał ogromną władzę, lecz pożądał jeszcze — jak to dziś wiemy — także bogactwa w najbardziej dosłownym, materialnym pojęciu. Dotychczas wiadomo, że został aresztowany, zakończono już dochodzenie, ujawniając ogromne łapówki i nadużycia. Ale to wszystko było później. Jak na razie, w drugiej połowie lat 70., ten zięciulek Breżniewa, kolejny mąż jego rozpustnej córeczki, słynącej na całą chyba Moskwę ze swych przygód, robił błyskawiczną karierę. Szybko wdrapywał się w górę w ciągu niespełna trzech lat ze zwykłego podpułkownika został generałem-pułkownikiem na stanowisku pierwszego zastępcy ministra spraw wewnętrznych, a jego pierś przyozdobiły niezliczone odznaczenia — krajowe i zagraniczne, co u wszystkich wokół budziło umiejętnie skrywany drwiący uśmieszek...

I oto ten wyuzdany ignorant nagle napotkał na swej drodze Kryłowa. Los nie mógł zetknąć bardziej skrajnych przeciwieństw. Rezultat mógł być tylko jeden: wzajemna nienawiść, zajadła i okrutna po stronie Czurbanowa, pełna pogardy i fizycznego wręcz wstrętu po stronie Kryłowa.

Kryłow był naczelnikiem nowego tworu — sztabu ministerstwa, który wbrew zajadłemu sprzeciwowi powołany został z jego inicjatywy przez żądnego władzy Szczełokowa (ówczesnego ministra spraw wewnętrznych — dop. red.). Przeciwnicy Kryłowa musieli ustąpić. Ale wszystko, co zamierzał i realizował Kryłow, było absolutnie obce i niezrozumiałe dla Czurbanowa, budząc w nim tylko złość.

Niestety, siły nie były równe. Najprawdopodobniej Czurbanow lepiej umiał wszystko wyjaśnić swemu teściowi, niż robił to Szczełokow. Pewną rolę odegrała także okoliczność, że samemu Szczełokowowi zaczął się już przykrzyć Kryłow — ten niespokojny duch z coraz to nowymi pomysłami i projektami. Po co to wszystko? Odpowiednia pozycja już zdobyta, a niedociągnięcia, schorzenia, niedomagania tylko jednemu Kryłowowi spędzają sen z powiek, bo przecież zawsze można je pomniejszyć, albo w ogóle ukryć wśród powszechnych braw, pełnych dumy raportów, niezliczonych odznaczeń, gratulacji, jubileuszów i uroczystych dat.

Zaś Kryłow wyciąga bez przerwy jakieś nieprzyjemne, „bolesne" problemy, a jeszcze do tego narobił sobie tylu potężnych wrogów. Na posiedzeniach kolegium ministerstwa ciągle odnosi zwycięstwa w sporach ze swoimi przeciwnikami, dzięki temu, że dane jakie posiada sztab, sporządzane tam analizy i prognozy a więc także plany i wnioski zawsze okazują się trafne. Ale mimo wszystko człowiek ten zaczął ciążyć Szczełokowowi, a branie go w obronę stało się wręcz niebezpieczne: z Czurbanowem nie ma co wojować...

Zaczynał się właśnie rok 1974. Szczełokow najwyraźniej postanowił uniknąć kłopotów, wrzawy i niepotrzebnych rozmów. Po co zbędny skandal ma rzucić cień na dzisiejsze, tak radosne rządy? Przed sześcioma laty Kryłow proponował utworzenie Akademii MSW. Niech więc zajmie się tą swoją akademią i wreszcie odejdzie ze sztabu. Damy mu nawet stopień generała — lejtnanta, pozostawimy członkostwo w kolegium, oznajmimy, że to przeniesienie jest doniosłym uhonorowaniem i pozbędziemy się Kryłowa z ministerstwa.

Tak właśnie zrobił Szczełokow, z łatwością „przepychając" odpowiednie decyzje przez wszystkie instancje. Kryłow zadając gwałt samemu sobie podporządkował się, chociaż doskonale rozumiał o co chodzi. Pogrążył się bez reszty w nowe plany. Opracowana przez Kryłowa koncepcja akademii była nieszablonowa. Uczelnia nie szkoliła prawników, lecz spośród dyplomowanych prawników miała kształcić specjalistów od zarządzania, organizatorów, kadrę kierowniczą wyższej rangi, wyposażoną w wiedzę i inteligentną. Konserwatywnie myślący prawnicy byli wręcz zaszokowani: po co w Akademii MSW takie dyscypliny, jak filozofia, matematyka, biologia, socjologia, psychologia, pedagogika, czy jakieś tam specjalne katedry systemów zarządzania? To przecież czysty nonsens! Przeciwnicy Kryłowa „na górze" dowodzili, że umiejętności kierowania uczy samo życie, intuicja i doświadczenie...

W akademii praca szła już pełną parą. Byli pierwsi absolwenci — radość i duma uczelni — rzeczywiście wspaniały rocznik, o którym pamięta się do dziś, chociaż uczył się właściwie „z głowy", gdyż nie było jeszcze podręczników i monografii. Powstały w akademii dwa ośrodki naukowe: jeden badający problemy zarządzania i drugi zajmujący się studiowaniem najnowszych doświadczeń. W murach tej uczelni stopniowo skupiali się wybitni uczeni, o akademii mówiono w Moskwie, zdobywała sobie coraz większy autorytet naukowy. Tu coraz częściej odbywały się ważne konferencje, narady, sympozja, spotkania, w których z ochotą uczestniczyli najwybitniejsi naukowcy.

Tego rodzaju imprezy organizowane przez Kryłowa stawiały jego umiłowaną akademię w pierwszym szeregu krajowych placówek naukowych, poszerzały horyzonty jej słuchaczy, sprzyjały pracy badawczej i wzbogacały proces dydaktyczny, szkoląc dla milicji kadry wykształconych i myślących organizatorów. Warto jeszcze dodać, że z inicjatywy Kryłowa w akademii utworzono wspaniały uniwersytet kultury pod kierownictwem słynnego kompozytora, Arama Chaczaturiana. Organizując koncerty, wystawy, spotkania z pisarzami, artystami itp., placówka ta realizowała starannie przemyślany program wychowania obyczajowego i estetycznego.

Akademia MSW awansowała do grona największych i najbardziej prestiżowych placówek naukowych w kraju, a jej dyrektor na posiedzeniach kolegium ministerstwa zachowywał się z dużym poczuciem pewności siebie i niezależności, nie wahając się spierać nawet z Czurbanowem. Zwycięstwo w takich sporach nie było trudne, bowiem pierwszy wiceminister nadal wykazywał krańcową ignorancję. Nadal także był pamiętliwy. Zaś Kryłow po prostu nie mógł się powstrzymać, rozpierało go oburzenie i pogarda, bowiem nie znosił ignorancji, a tym bardziej dyktatu nieuctwa. Nie miał w sobie niczego z dyplomaty, zbyt często szedł na przebój, jakgdyby nie zdawał sobie sprawy, czym może się to skończyć...

Czurbanow, do którego przyłączyli się wszyscy wrogowie Kryłowa, postanowił nie czekać dłużej. Minister pilnie wyjechał na kurację. Nawet dla niego niebezpieczne było ścieranie się z Czurbanowem, a zresztą interesy resortu mało go teraz obchodziły. Gotów był „oddać" Kryłowa Czurbanowowi w każdej chwili. Przede wszystkim trzeba było myśleć o sobie, uważnie śledząc kipiącą wokół, choć utajoną walkę — gdzie jak gdzie, ale tu „zastoju" nie było.

Do akademii dochodziły niepokojące słuchy z ministerstwa: szykuje się kolejna kompleksowa kontrola, szykuje się pogrom. Przewodniczącym komisji mianował sam siebie Czurbanow, skład jej dobierany był ze specjalną starannością, a rozmiary osiągnęła kolosalne — 71 osób. Kryłow przygotowywał się do tej kontroli nadzwyczaj solidnie. Chociaż miał za sobą całe lata walki i dobrze znał swoich przeciwników, to wciąż jeszcze wierzył naiwnie, iż oczywiste sukcesy naukowe jego ukochanej placówki oczywiste dowody rozumnej pracy ocalą akademię i jego samego. Najwyraźniej nie rozumiał, o co chodzi tym razem. Sporządził więc staranne, szczegółowe i wszechstronne sprawozdanie — analizę tego, co już zostało zrobione i zamierzeń na przyszłość. Z tym właśnie wystąpił przed komisją. „Ile to zajmie czasu?" — z jawnym lekceważeniem zapytał Czurbanow. „Półtorej godziny" — odpowiedział Kryłow. „Wystarczy czterdzieści minut" — takim samym tonem uciął Czurbanow.

Słuchając sprawozdania Czurbanow ziewał, pogardliwie i wrogo rozglądał się wokół, aż wreszcie oświadczył: „Jeść mi się chce". Natychmiast zarządzono przerwę i więcej nikt już nie chciał słuchać Kryłowa. Wszystko było z góry zdecydowane: Koncepcja akademii uznana została za całkowicie niewłaściwą.

Najważniejsza jednak rzecz, na której postanowiono „złapać" Kryłowa, to sprawy gospodarcze. Czurbanow, który sam — jak to teraz wiadomo — grzęznął po uszy w łapówkach, i nadużyciach, zapowiedział, że Kryłowowi w niczym nie wolno pobłażać, nie będzie mu darowany najmniejszy nawet błąd w gospodarce. Tak, w tej dziedzinie „złapanie" Kryłowa okazało się możliwe: na gospodarce się nie znał, a wokół niego byli różni ludzie, niekiedy nie zbyt skrupulatni. Zresztą w ogóle w owych czasach nie dało się gospodarzyć bez najróżniejszych wybiegów i „naruszeń".

Nie udało się jednak znaleźć niczego istotnego, choć szukano, i to jeszcze jak! Było to poniżające dochodzenie, czepiano się drobiazgów, a za wszystko miał być odpowiedzialny dyrektor akademii. Kryłow zaczął się denerwować, miotał się jak tropione zwierzę: nie wie, gdzie się podział płot, nie wie, co stało się z meblami z mieszkania, zajmowanego niegdyś przez jego zastępcę, czy też z jakimiś hangarami. Człowiek, który przywykł rozmyślać o poważnych problemach naukowych, nagle zmuszony został do taplania się w błocie.

Kryłow poddaje się: pisze do ministra raport z prośbą o zwolnienie z zajmowanego stanowiska ze względu na stan zdrowia. Gdy dowiaduje się, że minister właśnie wrócił z sanatorium, pojawia się cień nadziei. Kryłow biegnie do ministra, ale Szczełokow go nie przyjmuje. Koło się zamknęło. 19 kwietnia 1979 r. Kryłow zostaje przeniesiony do rezerwy „ze względu na stan zdrowia". Następnego dnia w paradnym uniformie generalskim po raz ostatni przyjeżdża do swej akademii, idzie do swojego gabinetu, a stamtąd do przyległego pokoju wypoczynkowego, gdzie wśród książek, rękopisów i notatek z zapałem i wiarą przepracował tyle wieczorów i nocy... Tu, w tym pokoju, pada strzał...

Śmierć Kryłowa wstrząsnęła ludźmi. Chociaż w ministerstwie i akademii wydane zostało po cichu polecenie, aby nie iść na pogrzeb, setki ludzi, w tym większość oficerów, po raz pierwszy zapewne w życiu nie usłuchały polecenia. Wielu z nich płakało na pogrzebie. Ludzie nagle zrozumieli, jakiego człowieka stracili jakiego wybitnego działacza. Zrozumieli też, kto jest temu winien. Wiele spraw zobaczyli w nowym świetle i sami w jakiś sposób zmienili się wewnętrznie. W ostatnim liście do przyjaciela Kryłow napisał prawdę: śmierć niekiedy jest także walką o życie.

Dokąd zmierza wieś?

Pod takim tytułem KOMSOMOLSKAJA PRAWDA opublikowała niedawno bardzo interesującą rozmowę z prof. W. Baszmacznikowem. W pytaniu zadanym profesorowi dziennikarz zacytował fragment jednego z wielu listów do redakcji: „Doczekaliśmy się. W ósmym dziesięcioleciu władzy radzieckiej zaczęto sławić kulaka. I całe to bezeceństwo robi się pod pretekstem powrotu do idei leninowskich. W czyim interesie leży zamach na kołchozy?"

— Nie mogę się z tym zgodzić. Idei leninowskich nie uważamy za pretekst lecz powracamy do nich. Nie niszczymy kołchozów i sowchozów, ale odradzamy je. Realizujemy obecnie uchwały XIX Konferencji KPZR. ...Rolnictwo hamuje dziś nasz rozwój. Dlatego wsi tak bardzo potrzebna jest przebudowa.

— W ciągu ostatnich trzydziestu lat w rolnictwo dużo inwestowano. Jeśli się nie mylę, nakłady inwestycyjne wzrosły w tym okresie sześciokrotnie. Może trzeba było inwestować jeszcze więcej?

— Wiele dziedzin na wsi wymaga doinwestowania: brakuje mieszkań, drogi są nie najlepsze, mechanizacja nie została doprowadzona do końca. Są więc potrzebne duże nakłady inwestycyjne. Ale muszą one zwracać się. Przez wiele dziesiątków lat niektórzy specjaliści obiecywali: wyposażymy wieś we wszystko, co niezbędne i otrzymamy produkcję, która zrównoważy nakłady. Inwestowano więc dużo, a do obfitości produktów rolnych wciąż jeszcze daleko. Główna przyczyna tkwi gdzie indziej. Ważne jest mianowicie, kto i jak dysponuje tymi środkami. Czy trafiają one do dobrego gospodarza. Na razie nie jest z tym najlepiej. W rolnictwo inwestujemy teraz prawie sześciokrotnie więcej niż 30 lat temu, a każdy rubel przynosi dziewiętnastokrotnie mniejszy zysk.

— W wielu listach pojawia się myśl: kierownictwo kołchozów i sowchozów rozpuściło się w latach zastoju. Trzeba je nauczyć moresu i wszystko będzie wspaniale...

— Właśnie „nauczyć moresu" — tylko to potrafimy robić bez zarzutu. Ale czy rzemieniem można wychować gospodarza? Czy może nim być kierownik z „nomenklatury", którego wciąż przenoszą z jednego gospodarstwa do drugiego? To w nagrodę, to za karę... Ale dlaczego wszystko sprowadzamy do problemu kierownika? Chodzi również o to, by każdy kołchoźnik poczuł się gospodarzem. Wtedy nie trzeba będzie go poganiać, kontrolować. Sam zauważy niedociągnięcia i rezerwy.

— Uważa pan, że kołchozy i sowchozy nie rozwiązały tego problemu?

— W tym kształcie, w jakim istnieją, nie. Większość z nich powstawała przecież w trybie przymusowym. Prywatni właściciele byli, z reguły, gnębieni, a nowe gospodarstwa kolektywne powstawały bez udziału społeczności wiejskiej. Naruszając przyzwyczajenie chłopa do tego, co „moje" i mówiąc mu o ponętnym „naszym", przymusowa kolektywizacja zrodziła jedynie brak odpowiedzialności i demoralizujące „niczyje". Tu tkwi przyczyna naszych obecnych trudności...

— W listach przesyłanych do redakcji przez weteranów ruchu kołchozowego często spotyka się zarzut: młodzież nie kontynuuje sławnych tradycji kolektywizmu. I jest to przyczyna niepowodzeń w rolnictwie.

— Czy wypada ubolewać nad utratą zaufania do idei kolektywizmu, narzuconej z góry? Czy idea ta mogła narodzić się w kołchozach podobnych do koszar, w których chłop ma tylko jedno prawo — wykonywać polecenia z góry? Oczywiście można przytoczyć przykłady dobrze zorganizowanych kołchozów. Ale są to wyjątki. Często tworzone na pokaz. By sprawiały radość wysokiemu kierownictwu...

Człowiek lgnie do kolektywu, jeśli nie jest przez niego gnębiony i jeśli ów kolektyw pozwala mu zaspokoić własne potrzeby. Gdy chłop nie jest zainteresowany wspólną pracą, idea kolektywizmu staje się tylko pustym hasłem...

Kołchoźnik stał się w rzeczywistości najemnym robotnikiem, a w pewnym okresie wręcz pozbawionym praw parobkiem. Charakteryzował się niską dyscypliną pracy, brakiem inicjatywy, obojętnością wobec działań kierownictwa.

Zapał do pracy stopniowo przygasał, a porządek był utrzymywany za pomocą ostrych środków administracyjnych. Proszę zauważyć, że gdy tylko „koszarowe" kierownictwo było zastępowane przez, co prawda skromny, ale administracyjno-ekonomiczny zarząd, wieś natychmiast reagowała spadkiem dyscypliny i odpływem ludności w wieku produkcyjnym. Praca na roli straciła wszelką atrakcyjność.

— Dlatego strumyk migracji płynący ze wsi do miasta przekształcił się w ogromną rzekę.

— Chłop pozbawiony wielu dóbr socjalnych, które posiadali ludzie w miastach, nie bez bólu porzucał swe rodzinne pielesze. Co dziesięć lat liczba ludności wsi malała o jedną dziesiątą. A kto opuszczał wieś? Energiczni, zdolni, wykształceni robotnicy...

— Efektywność produkcji rolnej można zwiększyć tylko wówczas, gdy na wsi będzie rzeczywiście pracowity rolnik. Ale jak zrealizować te zadania?

— Trzeba, na przykład, odbudować niektóre formy współpracy kołchozów z ludnością wiejską, gospodarstwa rodzinne nastawione na produkcję specjalistyczną. Mogą one pracować samodzielnie, a w niektórych okresach łączyć się w zespoły złożone z kilku rodzin.

Co należy zrobić w tym celu? Nieuniknione jest oddanie w dzierżawę części ziemi kołchozowej i sowchozowej. Komu? Rodzinom chcącym i umiejącym samodzielnie pracować na roli. Nie uważam za wielką fantazję, na przykład, otwartych konkursów na przejęcie w dzierżawę ziemi, zwierząt hodowlanych i sprzętu rolniczego. Rodzina lub kolektyw pragnący pracować na takich warunkach powinny zaprezentować swój program i przekonać do niego radę pracowniczą gospodarstwa rolnego lub miejscową Radę Delegatów Ludowych. „Komsomolka" mogłaby podjąć się przeprowadzenia takiego eksperymentu.

— Ciekawa propozycja, ale czy nie wydaje się panu, że wielu czytelnikom pomysł rozdania ziemi kołchozowej wyda się niemalże bluźnierstwem. Już wyobrażam sobie lawinę gniewnych listów, które otrzymamy.

— Przebudowanie gospodarki jest oczywiście dużo prostsze niż przebudowanie świadomości. Większość z nas już ze szkolnej ławy wyniosła przeświadczenie, że największym osiągnięciem w rolnictwie są kołchozy. Wszystkie inne rodzaje gospodarstw są mniej efektywne, a nawet antysocjalistyczne... Gospodarstwa indywidualne wykorzystują jedynie pracę członków rodziny. Poza tym nikt nie zamierza rezygnować z kołchozów i sowchozów. Farmy i małe spółdzielnie nie zastąpią gospodarstw kolektywnych, lecz mogą istnieć razem z nimi, stwarzać bardzo pożądaną konkurencję dla dobra nas wszystkich, klientów..

Kołchozy i sowchozy czeka, jak sądzę, poważna przebudowa. Właściwie już się ona rozpoczęła i daje pierwsze, obiecujące rezultaty. Co należy zrobić? Przemienić obecne kołchozy i sowchozy w swego rodzaju związki małych spółdzielni, które byłyby ogniwami podstawowymi na pełnym rozrachunku gospodarczym...

Teraz to jest stojąca woda

Z WOJCIECHEM J. HASEM, REŻYSEREM FILMOWYM, ROZMAWIA KONRAD STANGLEWICZ.

Łagów gościł wielu wybitnych reżyserów. Byli tu Wajda i Kawalerowicz, Zanussi i Kieślowski. W tym roku po raz pierwszy w Lubuskim Lecie Filmowym w Łagowie uczestniczył Wojciech Jerzy Has.

— Jak trafił Pan do filmu?

— To było zaraz po wojnie. Panowało wówczas wielkie ożywienie. Między innymi w Krakowie otwarto Kurs Przysposobienia Filmowego, filię Instytutu Filmowego w Łodzi. Zajęcia teoretyczne prowadzili wybitni uczeni: Roman Ingarden, Władysław Tatarkiewicz. To były poważne studia. Poszedłem tam dlatego, że interesował mnie film animowany.

— Tak skromnie?

— Równolegle studiowałem malarstwo na ASP. Poza tym przed wojną Disney był wielką fascynacją. Pierwszą moją pracą zarobkową była animowana wkładka do „Skroplonego powietrza". Robiliśmy ją w chałupniczych warunkach, sami wywołując taśmę. Wkrótce na „szestnastce" zrealizowałem pierwszy mój scenariusz. Grał tam Bronisław Pawlik, kolega z czasów okupacji, z którym chodziłem do Kunstgewerbe Schule pod które firmą działała tajnie akademia.

— Czy wówczas miał Pan już sprecyzowane poglądy artystyczne?

— Nie. Wiedziałem tylko, że w życiu będę zajmował się sztuką. Studiowałem w pracowni Eibischa na Akademii. Miałem nawet propozycję wyjazdu do Paryża, ale wybrałem Łódź a więc film.

— Kolejne pokolenia przychodzą do szkoły filmowej. Czy znajduje Pan w nich jakieś ślady swych młodzieńczych fascynacji, podobieństwa postaw?

— Nabór do szkoły filmowej to jest 6-10 osób rocznie. Zawsze znajdzie się wśród nich jeden czy dwóch utalentowanych. Tylko że, przepraszam że tak mówię, ja miałem za sobą okupację, wojnę. Byłem często zdany na własne siły, sam musiałem decydować w trudnych warunkach. Oni, oczywiście, mają swoje kłopoty, ale nie mają tego, co my, zahartowania. Poza tym tuż po wojnie prowadziło się szalenie aktywne życie. Sporo się rozmawiało, czytało, nadrabiając braki wojenne. Dzisiaj w szkole funkcjonuje giełda. I, co często powtarzam, brak pomysłów, chociaż jest wielka biblioteka. Do pewnych rozwiązań dochodzi się poprzez doświadczenia warsztatowe, etapami. Dziś młodzi chcieliby je przeskakiwać. I często ponoszą klęskę. Każdy chce robić pełnometrażowy film. Ze mną było inaczej.

Bossak, wtedy kierownik programowy „Czołówki", dawał zlecenia: krótki film! Nie było rozdziału na dokument i fabułę. Robiło się po prostu filmy. W czasach stalinowskich musiałem odejść z dokumentu i poszedłem do oświatówki. Tam robiłem wszystko: filmy dla dzieci, reklamówki, instruktaże... Ważna była po prostu każda szansa robienia filmu.

— A jak narodziła się szansa filmu fabularnego?

— W 1955 r. zaczął się ferment. Przyszły lata 1956, 1957. Hłasko się zgodził i zrobiliśmy „Pętlę" według jego opowiadania.

— Sporo literatury przenosił Pan na ekran. Czy nie było kłopotu z autorami?

— Nigdy. Świetnie pracowało mi się z Dygatem. Mieliśmy nawet robić „Jezioro Bodeńskie", ale nie doszło do realizacji. Wówczas było się przypisanym do jednego zespołu filmowego. Zmieniłem zespół i za to rok siedziałem na ławce rezerwowych.

— „Jezioro Bodeńskie" jednak powstało, w reżyserii Janusza Zaorskiego. Jak Pan je odbiera?

— Filmu w całości nie oglądałem. Zanim Zaorski go nakręcił, sięgnąłem do scenariusza. Wydał mi się bardzo naiwny. No, ale mógł z tego wyjść dobry film. To sprawa innego widzenia.

— Pańskie filmy są precyzyjnie konstruowane. Jednak, jak przy każdej pracy zbiorowej, zdarzają się niespodzianki, przypadki.

— Twierdzę, że film musi być dokładnie „napisany" i „zobaczony" jeszcze przed powstaniem. Jest to metoda pracochłonna, lecz dzięki niej mam pewność, że nic mi nie umknie.

— Mówiąc o przypadkach miałem też na myśli obsadę.

— Tu trzeba zachować wielką czujność. Zresztą od tego są doradcy: drugi reżyser, kierownik produkcji. Choć ostateczne ryzyko ponosi reżyser. U mnie aktorzy chcą grać i na ogół jeśli kogoś zapraszam do filmu, to się nie mylę. Do pewnego stopnia przypadkiem było obsadzenie Cybulskiego w „Rękopisie znalezionym w Saragossie". On miał nawet o to do mnie żal, bo chciał grać w „Pętli", zamiast Holoubka, przymierzał się do tej roli. Tyle że koncepcja „Pętli" była inna.

— Film z którym przyjechał Pan do Łagowa — „Niezwykła podróż Baltazara Kobera" to w połowie produkcja francuska, w połowie polska.

— Francuska jest trochę niższa.

— To da... filmowi gwarancję, że przynajmniej we Francji będzie pokazywany.

— Nie tylko. Dostanie się w Paryżu na ekrany to tylko umiejętność dystrybucji. Film trzeba przede wszystkim „przeprowadzić" przez jakiś festiwal. Zobaczymy jak zostanie przyjęty „Baltazar" w Wenecji. Poza tym tam odwrotnie niż u nas, trzeba zabiegać o prasę. Oczywiście mówię o poważnych pismach. Ubiegłej wiosny, przed „Baltazarem" miałem cykl rozmów i dobrą prasę: „Le Matin", „Le Figaro"... A to jest szalenie ważne. Tam ta opinia zostaje, podczas gdy u nas szybko umyka. Dobry film długo tam pamiętają. U nas zaś po roku już nikt nic nie pamięta.

— Sądzi Pan, że u nas brakuje historycznej ciągłości?

— Jeśli chodzi o film, zawsze jej brakowało. Podobnie z literaturą: były zrywy. Powojenne ożywienie, okres popaździernikowy — wówczas się gotowało. Teraz to jest stojąca woda, nie ma wydarzeń. Kultura zresztą stanowi dziś bardzo wąski margines życia.

— W Pańskich słowach odnajduję ton „Nieciekawej historii". Holoubek, który tam gra i mówi podobnie o swoim świecie?

— Może dlatego ten film zrobiłem. Nie wiem, czy miałby on sens bez Holoubka. Postać, którą gra, jest właściwie jego portretem, może trochę i moim. Ale gorzki smak tego filmu to też zasługa Czechowa.

— W „Niezwykłej podróży Baltazara Kobera" powtórzył Pan klimat, który pojawił się już w „Rękopisie". Myślę o tej kabalistycznej grze przenikających się światów...

— Zabawa w labirynt...

— ...gdzie rzeczywistość miesza się z nierealnością. Film mówi o tym, że jesteśmy w wiecznej drodze, za życia i po śmierci. W drodze bez kresu.

— Nasz świat zmarłych jest mroczny. To widać w Zaduszki: mamy mroczną perspektywę. W naszej literaturze, w naszym malarstwie zawsze były zapajęczone groby, zeschłe liście i rozkład. Tacy jesteśmy, bliżsi Wschodu. Inaczej jest na Południu. A co do pesymizmu i optymizmu to staram się podsumowywać pewne sprawy. U mnie też pewnie coś się zamknęło. Może otworzy się inny temat.

— Jaki?

— Będziemy robić w koprodukcji film według słuchowiska Jadwigi Kukułczanki. To jest coś w rodzaju ponurego science fiction, wizja zagłady świata.

— Wróćmy do rzeczywistości, w której żyjemy. Jakie jest Pana zdanie na temat reformy kultury, reformy kinematografii?

— To są w gruncie rzeczy eksperymenty. Powietrze można oczyścić, wodę też. Natomiast istotnym niebezpieczeństwem jest to, że całe pokolenia są zdewastowane, odhumanizowane. Obawiam się, że przez brak perspektyw tracimy młode pokolenia. Tematem przyszłego filmu, o którym przed chwilą mówiłem, jest pewna myśl Pascala. W skrócie brzmi ona tak: chwila obecna nie istnieje, ona umyka. Istnieje przeszłość w pamięci człowieka i przyszłość czyli nadzieja.

— Nasze społeczeństwo posiada bolesne doświadczenia, wielką przeszłość...

— I chyba tragiczną, bo to przecież są doświadczenia kilku pokoleń, nie tylko z lat ostatnich.

— A przyszłość?

— Ona się jakoś nie rysuje. Dla młodego pokolenia to bardzo niedobrze. Dzisiejsze warunki dobre są dla cwaniaków.

— Sądzi Pan, że sztuka może człowieka wyposażyć w życiowy kompas?

— Jeżeli jest zrozumiana, jeżeli ktoś jest przygotowany do jej odbioru, to tak. A widzę, że młode pokolenie odrzuca refleksję. Zerwana została jakaś kontynuacja.

Jan Nowicki w filmie „Sanatorium pod klepsydrą" (1973) w reżyserii Wojciecha Hasa

— A Pan nie ułatwia dostępu do sztuki, nie próbuje wyciągnąć ręki. Pan wymaga, by widzowie przyszli do kina już przygotowani.

— Ja już robię któryś z kolei film. Mam też w dorobku filmy dla szerokiej widowni, np. „Lalkę". Nie jest prawdą, że kino musi być masowe. Nie każdy film jest dla każdego. Zawsze robiłem filmy takie, jakie chciałem.

— W każdym okresie?

— Jeśli nie mogłem, to nie robiłem. Miałem przerwę ośmiu lat. Koledzy robili i ponieśli klęskę. Poza tym nasza kinematografia jest bardzo amatorska.

— A mówi się, że łódzka szkoła filmowa jest bardzo dobra.

— Tak, ale student po jej opuszczeniu musi mieć zapewnioną możliwość rozwoju. Prowadziłem zespół „Rondo" i tak stało się z Piwowarskim. Zrobił u mnie jeden film, później drugi, trzeci.

— To było świadome pańskie działanie?

— Tak. Widziałem jak jest naładowany, chce robić filmy. I tak też będę wykorzystywał swoje możliwości, aby robić to, co mnie dotyczy. Może jest w tym pewien egoizm, ale nasza kinematografia miała sukcesy tylko na płaszczyźnie kina artystycznego.

— Jeśli to nawet egoizm, to jest on uczciwy.

— Tak sądzę. Każdy działając w kulturze ma prawo do lekkiego oszustwa czy kombinacji. Ale musi być uczciwy w stosunku do siebie. By, jak mówił Dygat, móc patrzeć w lustro przy goleniu. Inaczej bardzo łatwo się sprostytuować.

ROBERT GROMADZKI

Montparnasse '87

sprzedawali obrazy rozmazane deszczem
malarze Montparnassu
spotykali się przy szklaneczkach wina
z papierosem w ustach niby sztandarem
irracjonalności
grosze wysypane na rachunek wiły znak
swój dźwiękiem upadku
Garcon, une bouteille du vin!
krzyk wznosił się tłumiąc wylazłe nadzieje
na arcydzieło zarośnięte starą trawą

ktoś mówił
tu przy tym stole siedział Monet
z białą brodą powietrza Tamizy
i oczyma które wzbijały huk fal
u brzegów normandzkiej plaży
siedział i milczał

Bulwar Kapucynów ożywał
panowie w cylindrach
kobiety leniwie spacerujące w krynolinach
dzisiaj zza rogu podgląda reklama
uśmiechu Marlin Monroe
setki ich na twarzy
na plakacie zamknięte
w jednym grymasie pożarte zostaną
rojem stworów z Raju i Piekła
szaleńca Boscha

czyż nie jest szaleństwem życie codzienne
pomiędzy mgłą marzeń a jasnością rzeczy

nadszedł czas
jeźdźcy Apokalipsy są anachronizmem
z epoki Durera wyśmianym i wyszydzonym
świat nie umiera tylko pulsuje w agonii
ptaki Van Gogha
w tle żółtych zbóż gdzie kłosy
chylą się do końca przed tobą
w rozszumieniu sierpniowym
nie opowiedzą jak drżała jego ręka
a pędzel był tylko przedłużeniem oczu
których źrenice dotykać musiały
płótna nim zgasły

na Montparnassie
zamknięte sztalugi w kroplach deszczu
wynudzeni malarze zasypiają na chwilę
lub zza okularów przeciwsłonecznych
obmacują turystki straconego czasu

Paryż umarł
zostawił
Pérè La Chaise na wspomnienia

Rynek krakowski '87

namalowane na chodniku iskierki mrozu
są małymi świętojańskimi robaczkami

pustą nocą
w zaczarowanym rynku
gdy zniknęły gołębie
dorożka
przemknęła chyłkiem
pośród lamp
możesz spotkać każdego
kogo znałeś

porozmawiać
choć przez moment
topniejącego śniegu

poczujesz
jak palce kamieniczek
skazanych na agonię
dotkną policzków
zapadniesz w sen

kroki twoje
na Szewskiej
obudzą cię
delikatnym
pocałunkiem życia

wrócisz
za każdym razem
jak ja wracam
do swojej Itaki

Z tomiku „Piąta strona świata" wydanego ostatnio w nakładzie 99 egz. przez Klub Literacki LTK działający pod patronatem oddziału ZLP w Zielonej Górze. Redaktor zbiorku Czesław Sobkowiak, rysunki i projekt okładki — Grażyna M. Bazylewicz.

Ciąg dalszy ze str. 1

Tymczasem trwają przygotowania do budowy szpitala specjalistycznego. Termin rozpoczęcia wydaje się jeszcze odległy. Prowadzona jest zbiórka pieniędzy oraz dość żałośnie wyglądająca tzw. działalność odzyskowa, przy której chciałam przez moment pozostać.

Do metalowych koszy, zamkniętych na wielkie kłódki, ludzie mają wrzucać plastikowe opakowania. Wrzucają też różne przedmioty: stary but, niedojedzoną bułkę, ogryzek, ogon od śledzia. Dla hecy. Nie umiemy tego robić. Nie rozumiemy, że w takim kraju, jak nasz, nic nie powinno się zmarnować.

Szpital Wojewódzki w Zielonej Górze kontynuuje powoli remont i rozbudowę. Troską nowej Wojewódzkiej Rady Narodowej będzie doprowadzenie tych robót do końca, a także zmodernizowanie paru innych obiektów służby zdrowia.

Z nadzieją na chrupiące bułeczki

Za mało mamy lekarzy, co wiąże się z ciągłym brakiem mieszkań. Toteż wraz z kamieniem węgielnym pod szpital specjalistyczny, położony być musi także kamień pod blok mieszkalny dla przyszłych pracowników. Bo czymże będzie szpital specjalistyczny bez specjalistów? WRN musi patrzeć w przyszłość dalej, niż sięga okres jej kadencji.

Czwartym spośród problemów uznanych za największe, jest oświata. Pilnej poprawy wymagają warunki istniejące w szkołach. Stare budynki wołają o remont. Ciasnota jest niekiedy nie do opisania. Zajęcia odbywają się na kilka zmian. Przemęczone są dzieci i młodzież, przemęczeni nauczyciele.

Kruszy się kadra nauczycieli — specjalistów. Niskie płace powodują, że młodzi nauczyciele, częstokroć świetnie wykształceni i przygotowani do pracy w szkole, wolą urządzać się w innych zawodach.

Wielki problem szkół zbiorczych! Czym i za co dowozić dzieci — przy obecnych cenach paliwa? Książki, pomoce naukowe, opieka lekarska, stypendia. — Od tego myślenia można wyłysieć — jak powiedział prawie ze łzami pewien stary woźny, znający problemy szkoły nie gorzej, niż niejeden decydent w resorcie oświaty. Jak sobie z tym wszystkim poradzi wojewódzka władza — zobaczymy.

Na pocieszenie popatrzmy, jak wygląda sprawa przedszkoli. Otóż podobno nie najgorzej w porównaniu z innymi województwami. Pod względem ilości dzieci objętych opieką przedszkolną, zajmujemy pozycję wahającą się między drugą, a trzecią w kraju.

Mimo to dla wielu dzieci miejsca w przedszkolu jeszcze brakuje. Zamiarem nowej WRN jest podjęcie przedsięwzięć w celu całkowitego zlikwidowania tego kłopotu. W ciągu najbliższych czterech lat wszystkie dzieci w województwie zielonogórskim będą mogły chodzić do przedszkola.

Wszystko co tu podałam, to jedynie ułamki programu, który właśnie się tworzy. Powołana została w tym celu specjalna, niestała komisja przy Wojewódzkiej Radzie Narodowej. Program zawierać ma tylko takie plany, na wykonanie których będzie nas stać.

Radni wybrani przez społeczeństwo po nowemu, muszą po nowemu myśleć i działać. Na pustosłowia i zadęcia nie ma czasu. Cztery lata szybko miną, a wtedy wyborcy zapytają: co zrobiłaś, rado?

Nowelizacja współdecydowania i współrządzenia. Inne, niż dotychczas, mechanizmy oddziaływania. Lepiej zgrane zasady oraz przepisy prawa i odpowiedzialności. Rywalizacja w handlu i przemyśle. Otwarta droga dla rzemiosła. Popieranie wszelkich inicjatyw, zmierzających do poprawy sytuacji gospodarczej na wsi i w mieście. Preferowanie małych zakładów.

Przejmowanie przedsiębiorstw przez WRN — liczba już przejętych wynosi podobno osiemnaście — od których podatki nie będą nigdzie odprowadzane, lecz zostaną na miejscu i zasilą budżet wojewódzki. Nienaruszalność nadwyżek budżetowych! Co zostało wypracowane w województwie, w województwie zostanie.

Na tym właśnie swój program na najbliższe cztery lata, buduje nowa Wojewódzka Rada Narodowa, która w myśl tego będzie inspirować także rady terenowe.

Mając świadomość ile wokół jest braków, kłopotów i spraw trudnych do załatwienia, dziennikarz wchodzi do gabinetu przewodniczącego WRN w nastroju pesymistycznym. Tymczasem zastaje tam — jakby to określić — pełną optymizmu gotowość. Do pracy, do działania.

Taka gotowość nie jest niczym nowym. Ludzie w mojej rodzinnej Kielecczyźnie mawiają, że każda nowa miotła dobrze zamiata. Nie pierwszy to raz przyszło mi spisywać obietnice i zobowiązania. W przeszłości bywało, że do niektórych zobowiązań już się potem nie powracało, gdyż poczytywano to za nietakt. Po prostu — coś się planowało, coś się nie udało — i cisza.

Dlatego też przekazując wszystko, co mi w ten upalny lipcowy dzień powiedzieli przewodniczący WRN Wiktor Hodun i wojewoda zielonogórski Zbyszko Piwoński, wystrzegałam się entuzjastycznych „ach" i „och". Na oklaski przyjdzie czas.

Ale przyznać muszę, że w mój utrwalony z latami sceptycyzm dla wszystkich programów — wszak było ich tak wiele — wcisnęła się mała kropelka nadziei.

HALINA ANSKA

(Literaturnaja Gazeta)

Wielka szansa

Ciąg dalszy ze str. 1

sze przyjazne. Czy przeciętny francuski mieszczuch kocha Amerykanów? Są liczne przykłady, że raczej nie. Z powodu konkurencji na rynkach, z powodu przypisywanej Amerykanom arogancji zachowań, stylowi bycia. Natomiast główna przyczyna animozji tkwi w czymś zupełnie innym, w tym mianowicie, że Stany Zjednoczone, wielka potęga gospodarcza, jest w sensie militarnym również supermocarstwem. Słabi, zwłaszcza ci którzy byli kiedyś silni, nie lubią olbrzymów i siłaczy. Owo nielubienie ma charakter dość łagodny. I można nad nim przechodzić do porządku dziennego.

Pakiet reform realizowanych w Polsce i Związku Radzieckim stwarza przed społeczeństwami tych krajów, być może raz darowaną przez historię, szansę urzeczywistnienia, ufaktycznienia przyjaźni polsko-radzieckiej nie tylko na płaszczyźnie gremiów instytucji, partii, fabryk, ale najzwyklej, między pojedynczymi ludźmi. Tej szansy nie wolno nam zmarnować. Po obu stronach Bugu! Otwiera się przed naszymi krajami wielka perspektywa. Z tej perspektywy skorzystają nie tylko nasze narody, ale i Europa, świat. Aby tak się stało, trzeba uczynić wiele, odrzucić skamieliny myślowe, doktrynerskie obciążenia, formalizm, biurokrację. Przykład dają wielcy. Gorbaczow w Kościele Mariackim, dyskutujący na Zamku z polskimi, nie zawsze prawomyślnymi intelektualistami, wygłaszającymi nie zawsze słuszne poglądy. Glemp odprawiający nabożeństwo w Moskwie, udzielający wywiadu komunistycznej przecież „Literaturnoj Gazietie", trzy, cztery lata temu byłyby to fakty nie do spełnienia. Jednak impulsy wielkich muszą mieć podbudowę w działaniach maluczkich, zwłaszcza w działaniach pozbawionego resentymentów młodego pokolenia. Ideę przyjaźni polsko-radzieckiej trzeba przewietrzyć nie tylko w TPPR, ale i w organizacjach studenckich i młodzieżowych. Niech sobie będą wyprawy do Nepalu, Czadu i Peru. Ale Bajkał, Ałtaj, Jenisiej, tajga, tundra, czekają. I nie wolno nam się spóźnić. Tak jak nie wolno się spóźnić z inicjatywami kapitanów polskiego przemysłu. Wykreślić z życia trzeba monopol na przyjaźń polsko-radziecką zsakralizowany przez trwanie, przeżarty przez formalizm i biurokrację.

W 1982 albo 83 roku we Wrocławiu zorganizowano sesję na temat przyjaźni polsko-radzieckiej. Uczestniczyli w tej sesji prelegenci i działacze Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej z kilku zachodnich województw. Podobnego zestawu katechetów w nawiedzeniu wygłaszających mowy w stylu prof. Pimki nie udało mi się zobaczyć przedtem ani też potem. Prof. Pimko wygłaszał wykład o Wieszczu, który jest wielki, bo wielki był. Katecheci mówili to samo, tyle że o ZSRR. Uprawianie przyjaźni bez faktów jest czczym gadulstwem.

Festiwal piosenki radzieckiej uczynił Zieloną Górę miastem znanym w Związku Radzieckim. Myślę, że ta coroczna impreza udana mniej lub bardziej — jak to z każdym festiwalem bywa, jest dla nas, mieszkańców środkowego Nadodrza, niecodziennym sposobem na przewietrzenie tęchniejącej, prowincjonalnej atmosfery. Festiwal jest także sposobem na zawieranie kontaktów międzyludzkich, wymianę doświadczeń. Korzyści z tego są niewątpliwe. Dla mieszkańców Zielonej Góry. Dla twórców z tego miasta.

Zielona Góra ma niewątpliwe zasługi w materializacji przyjaźni polsko-radzieckiej. Starała się to robić w czasach, w których nie zawsze było to łatwe i miłe. Matrializacji przyjaźni służyli i służą nadal swoją dobrą pracą inżynierowie i robotnicy „Zastalu", Wyższa Szkoła Inżynieryjna, która za swego patrona ma obywatela ZSRR, pierwszego człowieka, który obejrzał Ziemię z kosmosu — Jurija Gagarina. Polski kołtun zabrał na ten temat głos w chwili dla siebie wygodnej. Przemianował Zieloną Górę na Czerwoną Górę. Powiedziało mi się na owej wrocławskiej sesji, że suma gestów przyjaźni z Zielonej Góry, w określonej sytuacji politycznej wygodna dla reszty kraju, polityczna dalekowzroczność by to nakazywała, wymagałaby gestu z tamtej strony Bugu. — Jeśli budowa i wyposażanie jakiegoś wydziału na WSI jest ponad możliwości materialne bratniego kraju, jeśli niemożliwe jest przyjęcie ponad ustalone państwowe limity kilku zielonogórskich studentów na przodujący kierunek radzieckiej uczelni, jeśli nie możecie wybudować w Zielonej Górze kina — ja to rozumiem, to niech radziecki człowiek przyjedzie do uczelni im. Gagarina i wręczy rektorowi tysiąc książek technicznych w charakterze przyjacielskiego daru. Gdy to mówiłem, wśród oswojonych katechetów powiało mrozem. Po zakończeniu sesji podszedł do mnie radziecki konsul i powiedział: rozumiem was. Zgadzam się. Wasz postulat przekażę swoimi kanałami tam, gdzie trzeba. Sami jednak wiecie... I bezradnie rozłożył ręce.

Po 24 festiwalach piosenki radzieckiej w Zielonej Górze odbył się w Witebsku pierwszy festiwal piosenki polskiej. Uważam to za ważne wydarzenie. Dla Polaków. Dla polskiej kultury. Dla normalizacji, humanizacji przyjaźni. Dla obudowywania faktami idei wypracowanych przez nasze partie i naszych przywódców. Na drodze pierwszy strojki i przebudowy czeka nas wszystkich tu i tam mnóstwo ciężkiej roboty. Być może będzie nam nieco lżej ze świadomością wspólnoty intencji, re waloryzacji słowa przyjaźń.

RYSZARD ROWINSKI

P.S. Bardzo tego pragnęliśmy, ale nie możemy służyć Czytelnikom NADODRZA własną, bezpośrednią relacją z pierwszego festiwalu piosenki polskiej w Witebsku. W autobusach przyjaźni, które wyjechały z Zielonej Góry, wśród starannie wybranych i słusznie, pasażerów, zabrakło miejsca dla wielu ludzi, w tym również dla dziennikarki z naszej redakcji, nałogowo od 24 lat zajmującej się piosenką radziecką w Zielonej Górze. Halina Ańska była w Witebsku w formie zastępczej. W postaci swej książki — jako suwenir, dużego artykułu adresowanego do radzieckiego czytelnika. I chwatit! jak powiadają.

(rr)

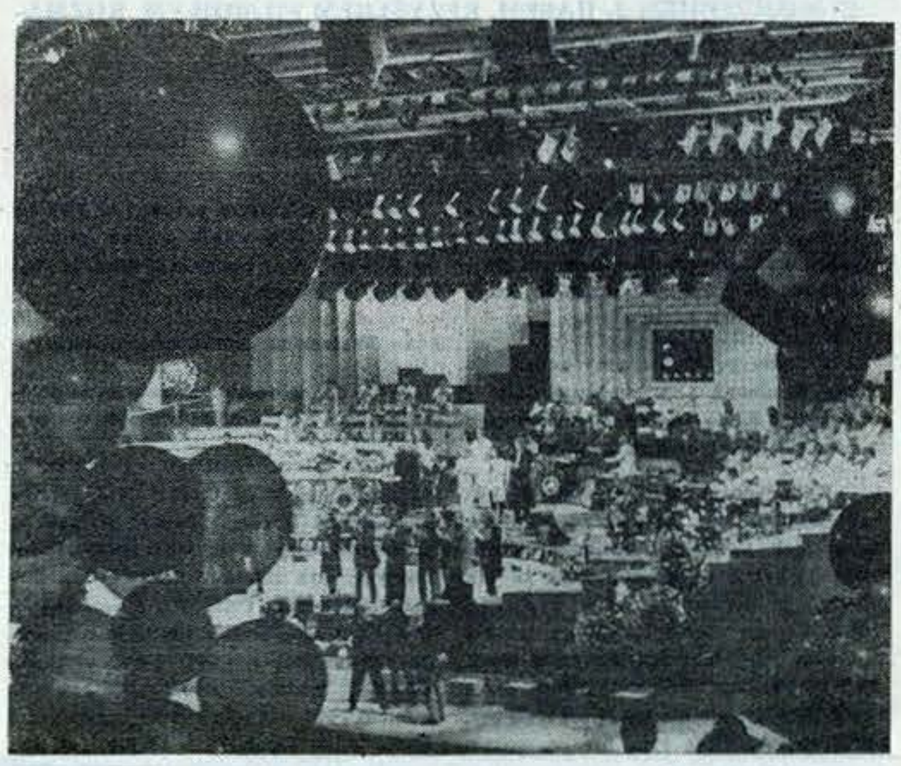
Z Festiwalu Piosenki Polskiej w Witebsku

Fot. BRONISŁAW BUGIEL

Postawy

KANIKUŁA

1. Lato, jakie jest, każdy widzi. Od czasu do czasu pojawia się jednak kilka deszczowych dni, jakby na pociechę dla mnie. Nie muszę wówczas wychodzić z domu, by z miejsca dostać po twarzy od zastanej rzeczywistości. A jeszcze co gorsza, rzeczywistość ta, tak się z dnia na dzień zmienia, że czuję jak spadam. Coraz więcej bluźnierczych zwątpień, coraz więcej mam grzesznych myśli, coraz więcej oporów. Nawet nie słyszę kościelnych dzwonów, wzywających wiernych do modlitwy.

2. Dlaczego rzeczywistość, w której przyszło nam żyć, nie staje się szczęśliwsza? Więc nie da się ukryć, że targają mną pytania. A wokół ciągle mi mówią, że jeszcze nie wszyscy zwariowali i można spotkać ludzi, którzy umieją mądrze myśleć i rozsądnie działać. Ciekawi mnie, kiedy takiego człowieka spotkam? Teraz widzę samych kaskaderów. To są kaskaderzy drugiego etapu reformy czyli ożywionej działalności cenotwórczej. Kaskaderzy podsysający smoka inflacji. Wiadomo już, że przeprowadzone do tej pory operacje podwyżek cen, nie zrównoważyły towarowego rynku, a wprost przeciwnie: nastąpiła kolejna deprecjacja polskiego złotego, o kolejne procenty wzrosła inflacja. I co się dzieje? Przelękniona ludność wykupuje na zapas wszelkie towary, które wkrótce podrożeją. Wzrost cen nie skłania do wzmagania wysiłku i podnoszenia wydajności pracy.

3. Pamiętam te czasy, kiedy wiadomo było, że taki a taki facet pewnych rzeczy nie zrobi, bo to zasadniczo jest sprzeczne z jego posiadaną wiedzą, z jego zasadami, z jego postawą moralną, z tym, co on reprezentuje, z jego honorem w końcu. Ale dziś takich facetów już nie ma. Honoru również. Są układy. Facet idzie na te i jeszcze na inne układy. A ja, szary człowiek, w dobie głasnosti i pieriestrojki, po uważnym śledzeniu XIX Konferencji KPZR — chciałbym ostatecznie zapytać o nazwiska wszystkich tych, którzy są odpowiedzialni za dotychczasową działalność cenotwórczą. Nie pragnę w końcu ośmieszać indolencji, nie jest to już w żadnym przypadku ambitne, sama się bowiem ośmiesza. Jestem, jako konserwatysta, wrogiem rozwiązań pośrednich, nic nie przynoszących, oprócz, rzecz jasna, wzrostu inflacji. Nieodparcie w tym miejscu przypomina mi się dylemat dziewicy: zaznać rozkoszy nie tracąc cnoty.

4. Kiedy piszę te słowa, wzrosły już ceny urzędowe skupu artykułów rolnych (na targowiskach ruch odpowiednio w górę), wzrosły ceny alkoholu (zapewne producenci wina i piwa nie przespią nadarzającej się okazji), wzrosły ceny biletów lotniczych w ruchu międzynarodowym do państw zachodnich, wzrosły stawki ubezpieczeniowe „Warty". Nie wspominam o galopie cen umownych. Wszyscy wiedzą, co jest tu grane . Smok inflacji intensywnie działa i nie jest, choćby o ząb, zagrożony. Oto Ministerstwo Przemysłu i CPN z satysfakcją uruchomiło sprzedaż benzyny po cenach komercyjnych o 250 procent wyższych od normalnej, przydziałowej. I co się dzieje? Wiadomo, co też było do przewidzenia Zwiększone koszty transportu wlicza sobie już do rachunku byle jaki rzemieślnik, wytwarzający byle jaki towar na rynek, ajent prowadzący sklep, badylarz, i tak dalej, skończywszy na mechaniku, który przyjedzie do nas, aby naprawić lodówkę. Za miesiąc, być może, bułka po cenach komercyjnych kosztować będzie tyle, co dziś bochenek chleba w cenie urzędowej. Ponadto pamiętamy jeszcze doskonale ceny komercyjne mięsa. Były takie specjalne sklepy, które potem zniknęły, ale ceny pozostały.

5. Okres wakacyjno-wypoczynkowy, niestety, nie skłania mnie do doznań rozkosznych. Aby jechać dziś na urlop, trzeba zdecydować się na anty-urlop. Trzeba uzbroić się w odwagę, determinację i chamstwo. Trzeba przeciwstawić się wszystkim. W domu zaś nie warto siedzieć. Do czego to prowadzi, tego dowodzi mój przypadek. Na urlop nie wyjechałem i jestem jak elitarny myśliciel· nie mogę rozłupać dylematu, czy można nadal robić reformę wespół z tymi ludźmi, którzy dotychczas pół tej reformy położyli na łopatki? Czy nie nadszedł czas, aby zestroić politykę kadrową z programem odnowy, demokratyzacji i reform? Niejednokrot nie teraz tak to wygląda, jak z moim sąsiadem. W ogrodzie ma dorodną czereśnię, i przez całą wiosnę zmuszony był przepędzać z tegoż drzewa stada szpaków. Ale one zaraz powracały, z tą tylko różnicą, że usadawiały się już na innych gałęziach.

ZBIGNIEW M. JELINEK

„Miłości prawdziwej szukam u blondynki"

Tylko „Kurier Polski" zamieszcza w każdym miesiącu kilkaset ogłoszeń matrymonialnych. Napotkać je można także na łamach dzienników partyjnych. Publikatory wypierają tradycyjne swatki, ich pośrednictwo zyskuje sobie coraz więcej zwolenniczek i zwolenników.

Niestety, jak dotychczas zainteresowani skazani są w tej dziedzinie na własną jedynie inwencję i fantazję. Podobnej sytuacji życiowej nie wziął pod uwagę nawet Jerzy Wittlin w swoim vademecum „Dla tych, którzy pierwszy raz".

Pokuśmy się więc o sformułowanie podstawowych zasad, jakimi należy się kierować przy pisaniu matrymonialnego anonsu. Jako materiał źródłowy posłużą nam oryginalne ogłoszenia właśnie z „Kuriera Polskiego".

1. Do stworzenia podstawowej komórki społecznej, jaką jest związek małżeński, potrzebne są, jak wiadomo, dwie osoby. Do zasygnalizowania problemu wystarczy jedna: **„Ładna 40-latko — czekasz Ty, czekam ja".**

Dopuszczalne są także propozycje zbiorowe: **„Samotne domatorki poznają kulturalnych panów".**

2. Z reguły też ogłoszenie pisze się we własnym imieniu; nawet wtedy, gdy nie wynika to wyraźnie z jego treści: **„Wolny sektor prywatny pozna panią. Przeszłość nieistotna".**

Można jednak i tutaj skorzystać z pomocy osób trzecich: **„Rodzice poznają młodego Polaka, chętnie z wyższym wykształceniem, gotowego do przeniesienia się do Włoch i ewentualnego poślubienia ich 27-letniej córki, ładnej, z wyższym wykształceniem, niezależnej finansowo".**

3. Długość ogłoszenia jest sprawą zupełnie nieistotną. Może składać się ono z kilku zaledwie słów, cała reszta ujawniona zostanie po ewentualnym zawarciu znajomości: **„Kobieta pozna dżentelmena".**

Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, aby zaprezentować wszystkie swe walory, precyzując jednocześnie, czego oczekuje się od potencjalnego partnera:

„Czy istnieje jeszcze w dzisiejszej dobie elegancki, uczciwy, wolny mężczyzna z klasą, ceniący dom, jego ciepło i spokój, o dobrej aparycji ale i głębokiej kulturze zewnętrznej i wewnętrznej, z cenzusem naukowym, spokojny, czuły, z sercem i wnętrzem wspaniałego człowieka, bez nałogów, w latach 53—63, ale cieszący się zdrowiem i temperamentem? Jeśli tak, niech da o sobie znać kochającej przyrodę, turystykę, sztukę i muzykę poważną subtelnej estetce z własnym mieszkaniem i samochodem, o takich jak wymagane walorach, bezkonfliktowej, uzodowej, z poczuciem humoru rozwódce. Fotografie mile widziane, zwrot zapewniony jak i prośba o telefon domu czy pracy celem szybszego porozumienia się. Tylko poważne oferty (nie dla zabawy i przygód, a przeżycia wspólnie pogodnych lat) kierować..."

4. Formie oferty należy poświęcić nieco więcej uwagi. Otóż z matrymonialnej giełdy wynika, że wysoko notowane są wszelkie próby zerwania z ogłoszeniowym stereotypem: **„Włóczykij po opłotkach świata, domorosły filozof, niewydarzony twórca, z panem Bogiem w nieustającym sporze pozna młodą, podobającą się panią z sercem na swoim miejscu".**

Niebanalność można też zaakcentować słowem wierszowanym: **„Kawaler pozna pannę z temperamentem bądź innym talentem".**

Korzystne wydaje się dokonanie świadomego zapożyczenia u któregoś z uznanych już twórców: **„Jeśli jest prawdą... (Jasnorzewska) — zaproś mnie na wspaniały bal. Nietuzinkowa blondynka 36 lat".**

Można również wprowadzić element tajemniczości: **„Szukam pana nieprzeciętnego. Pewno nie będzie żałował".**

Istnieją również zwolennicy przedkładania nad poezję prozy:

„Panią około 50, posiadającą plac budowlany pozna amator domku i garażu".

Idąc na kompromis dokonać można połączenia obu tych elementów: **„Ogrodnik z mercedesem pozna czarującą panią, która przysłoni cienie i blaski minionych lat"** lub też **„Pracuję jako inżynier elektronik i posiadam dom z basenem. Jeśli masz duszę i wierzysz w przyszłość — napisz".**

5. Teraz możemy się już skoncentrować na treści oferty. Przede wszystkim musimy sobie odpowiedzieć na zasadnicze pytanie — czy jako jednostka ludzka mieścimy się w „średniej statystycznej"?:

„Przeciętny śmiertelnik szuka najzwyklejszej żony" czy też swą osobowością i dążeniami wyrastamy ponad szarą rzeczywistość?

„Adam superman oczekuje prawdziwej miłości od Ewy inteligentnej, bogatej w urodę. Zapewni Raj na ziemi".

6. Prezentując swoją osobę, z reguły akcentujemy jedynie nasze atuty. Wiadomo, że ideałów nie ma. Chodzi o to, aby czytelniczka lub czytelnik ogłoszenia doszli do wniosku, że to my właśnie stanowimy wyjątek, potwierdzający regułę: **„Samotny pan elegancki, kulturalny, wykształcony, odpowiedzialny, przystojny, opiekuńczy, zamożny (samochód, dom, oszczędności, po dłuższym pobycie za granicą) poszukuje młodej, atrakcyjnej pani".**

Można jednak wybrać całkiem odmienny wariant: **„Uwaga — w Norwegii nie ma kobiety, która poślubi mnie. Mam za dużo braków. Palę, piję, jeśli to konieczne przeklinam. Jeśli lubisz wygodne ale niebezpieczne życie, wyślij ekspresem list".**

7. Jeśli zaś chodzi o poszukiwanego partnera — staramy się w pierwszym rzędzie skonkretyzować, jaką rolę wyznaczamy mu w ewentualnym przyszłym związku (oprócz oczywistej roli żony — męża).

Może więc w szczególności zależeć nam na:

— Tej Jednej, Jedynej (Tym Jednym, Jedynym): **„Austriak w średnim wieku szuka kobiety swego życia";**

— kochance: **„Dziennikarz pozna panią sexy z temperamentem";**

— matce dzieciom: **„Obywatel włoski, wdowiec, dobre warunki materialne szuka matki dla 9 dzieci";**

— życiowej opoce i podporze: **„Przystojny student pozna dominującą, władczą dziewczynę w przedziale 18—30";**

— współtowarzyszu życia kulturalno-rozrywkowego: **„Pana brydżystę poznam";**

— sojusznika w działalności zawodowej: **„Blondynka, właścicielka zakładu kosmetycznego pozna lekarza dermatologa";**

— osobie o ściśle określonej profesji: **„Cudzoziemka pozna wyłącznie stomatologa do lat 43".**

8. Jak powszechnie wiadomo, człowiek składa się z duszy i ciała. Stosownie do własnej hierarchii wartości możemy wyraźnie wskazać na potrzeby duchowe: **„Panna lat 37 pozna pana kulturalnego, nie zdemoralizowanego, nie materialistę, prawdomównego, wiernego, ceniącego wartości duchowe, zdolnego do głębokich, szlachetnych uczuć"** bądź też cielesnej natury: **„Cichy miłośnik rubensowskich kształtów pozna panią do lat 35, dobrze zbudowaną, szeroką w biodrach, wąską w pasie".**

Dopuszczalne jest interesowanie się jedynie jakimś elementem ciała partnerki (partnera): **„Poznam brunetkę z dużym biustem".**

Konieczność harmonijnego połączenia obu czynników, sygnalizujemy w taki na przykład sposób: **„Humanista domator stworzy tradycyjną rodzinę z panią, cieszącą oko i duszę".**

9. Sformułowanie innych wymagań wobec potencjalnego matrymonialnego kontrahenta jest już sprawą naszej fantazji. Najlepsza, rzecz jasna, byłaby osoba idealna. Ponieważ jednak takowych nie ma, staramy się sprecyzować, na czym zależy nam bardzo, na czym zaś nieco mniej:

„Samotny pozna niekoniecznie ładną, koniecznie zgrabną, niekoniecznie łagodną, koniecznie niegłupią"; lub też: **„Lubiący naturę pozna panią kobiecej budowy. Warunki materialne nieistotne".**

Oczywiście, jeżeli warunki materialne są dla nas istotne, wcale tego nie ukrywamy: **„Subtelny, przedsiębiorczy pozna odpowiednią panią, dobrze sytuowaną z prywatną inicjatywą, samochodem, w przyszłości z możliwością zamieszkania u pani".**

Aby rozwiać ewentualne wątpliwości, co należy rozumieć przez osobę dobrze sytuowaną, można ściśle określić wykonywany przez nią zawód: **„Atrakcyjna panna pozna pana dobrze sytuowanego (rzemieślnika, ogrodnika, lekarza, marynarza)".**

Można także zastosować selekcję negatywną — wskazać elementy, na których zupełnie nam nie zależy: **„Pan po 70 pozna panią najchętniej bez mieszkania i może nie mieć renty".**

10. Anonsów matrymonialnych z zasady nie adresujemy do mężatek (żonatych). Tak więc podkreślenie tego faktu nie wydaje się konieczne: **„35-letni wolny pozna młodą warszawiankę, również stanu wolnego".**

Pamiętać jednak musimy, iż nasze, pisane w uczciwych zamiarach ogłoszenie, trafić może w ręce jakiegoś „Kalibabki": **„Poznam pana operatywnego, eleganckiego, kulturalnego, posiadającego wady i zalety (oszustwo matrymonialne wykluczone).**

11. Teraz już tylko kartka, długopis — i do roboty!

Opracował: EM

Masoneria bez tajemnic

Bracia epoki Wielkich Świateł

Masoneria stała się zaczynem Oświecenia. Jej narodziny wyznacza dzień 24 czerwca 1717 r., kiedy to członkowie czterech lóż mularskich zbierający się w tawernach „Pod Gęsią i Rusztem", „Pod Koroną", „Pod Jabłonią", „Pod Rzymianinem i Winogronami" połączyli się i utworzyli Wielką Lożę Londyńską.

W 1723 r. pastor Anderson opracował statut stowarzyszenia, tzw. konstytucję masońską. Znosiła ona obowiązek wyznawania panującej religii, zastępując go koniecznością *„wyznawania tej religii, na którą się zgadzają wszyscy ludzie, co oznacza być ludźmi dobrymi i szczerymi, ludźmi honoru i uczciwymi".*

Wybitny znawca wieku Oświecenia Paul Hazard pisze: *„Prawdziwy paradoks ludzie, którzy nie chcą już Kościoła, uczęszczają do ciemnej kaplicy, uciekają się do symboli i obrzędów wtajemniczenia, kolumny malowane, płótno wyobrażające świątynię Salomona, pięcioramienna gwiazda, ekierka, cyrkiel, poziomica".* Czciciele rozumu wkroczyli w świat mistyki i mistycyzmu. Wrogowie sekt założyli nową sektę. Oto paradoks epoki Wielkich Świateł.

Masoni zobowiązali się do zachowania absolutnego sekretu: *„Przyrzekam i zobowiązuję się wobec wielkiego Budowniczego Wszechświata i tego czcigodnego stowarzyszenia, że nigdy nie wyjawię sekretów wolnomularzy i wolnomularstwa, że nie stanę się bezpośrednią czy pośrednią przyczyną tego, aby sekret ten został wyjawniony, wykryty czy wydrukowany w jakimkolwiek bądź języku czy piśmie. Jeżeli złamię przysięgę, niechaj podetną mi gardło, wyrwą język, wydrą serce..."*

Ale za tymi zewnętrznymi formami można znaleźć u masonów ducha nowej epoki. Przyjmują nową koncepcję życia, odrzucają rygory myślowe, smutek, rozpacz, wiarę w życie pozagrobowe jako jedyną nadzieję: *„Drogą usłaną tysiącem kwiatów idzie wolnomularz przez życie szukając przyjemności, unnikając cierpień. I zawsze przestrzegając słodkich praw Moralności Epikura".*

Masoni chcą zmienić społeczeństwo, ale nie mają władzy. Potrzebują więc sprzysiężenia. Zjednoczą się, by zostać braćmi. Jednym z ich przykazań jest gotowość do poświęceń. Jeżeli adept przybył do nieznanego mu miasta, zawsze może znaleźć oparcie u innych adeptów. Jeżeli spotka go nieszczęście, otrzyma zawsze pomoc, bracia wydobędą go z kłopotów. Wystarczy niech uczyni odpowiedni znak ręką a będzie rozpoznany i wybawiony z tarapatów, w jakich się znalazł.

Bracia odczuwają głęboko głód wolności politycznej. Nic dziwnego cała epoka jest jej spragniona:

„Natura, przyjaciele, głośno domaga się wolności." To prawo, tak drogie człowiekowi, jest tutaj respektowane. *„Równość bez anarchii, wolność bez nadużywania jej. Posłuszeństwo prawom — oto nasza niezależność."*

Masoni wydali walkę tyranom, i despotom, przywilejom i autorytetowi, który nie był ich autorytetem. W ich pismach możemy odnaleźć takie oto stwierdzenia: *„Ta poziomica, którą trzymamy w ręce, pozwala nam ocenić ludzi tak, byśmy szanowali w nich człowieczeństwo i nie dali się oślepić godnościom"* I w innym miejscu: *„Wolnomularz jest człowiekiem wolnym, przyjacielem zarówno bogacza, jak biedaka, jeżeli są oni cnotliwymi ludźmi".*

Z Anglii masoneria „rozlała się" po całym kontynencie. Na mapie tego marszu znalazły się wielkie miasta handlowe, porty i stolice państw. Wkrótce także i miasta prowincjonalne. O kierunku tej drogi decydował często przypadek, częściej jednak pokrywały się one z tradycyjnymi szlakami handlu, emigracji i inwazji. Podróżujący adepci — kupcy, dyplomaci, marynarze, żołnierze, uczeni — zakładali loże w miejscach swego pobytu lub przejazdu. Byli wśród nich nawet jeńcy wojenni, a także aktorzy wędrownych trup.

Szczególny atrybut masonerii to przyjmowanie do niej ludzi ze wszystkich stanów społecznych, złamanie zasady kastowości w dobrze braci lożowych. Król zasiadał w loży obok kupca, uczony obok dziennikarza, literat obok aktora. Nie wszyscy jednak byli jednakowo wtajemniczeni. Osiągnięcie najwyższego stopnia wtajemniczenia wzbudzało respekt i uznanie. Wysokie stopnie piastowało wielu książąt krwi oraz monarchów, a wśród nich m.in. w Anglii — królowie Jerzy IV i Edward VII, w Niemczech — król Fryderyk II i cesarz Wilhelm I, w Polsce — król Stanisław August Poniatowski.

W masonerii znaleźli się także wybitni pisarze, kompozytorzy, uczeni. Długa jest lista tych ludzi. Znaleźli się wśród nich m.in. Goethe, Franklin, Fichte, Lessing, Scott, Wieland, bracia Turgieniew, Mozart, Herder, Strug, Niemcewicz, Brodziński i wielu innych.

Do historii masonerii przeszedł dzień 7 kwietnia 1778 r. kiedy to Wolter został członkiem Loży Dziewięciu Sióstr założonej w 1776 r. w Paryżu. Należeli do niej Helwecjusz i Lalande. Zwolniony z obrzędu wtajemniczenia (wyraz uznania dla twórczości Woltera), został wprowadzony na salę przez komisję dziewięciu delegatów. Wolter, już sędziwy, wszedł do loży oparty na ramieniu Franklina. Odpowiadał na pytania z filozofii i moralności, które zadawał mu Mistrz. Potem złożył przysięgę i został przyjęty na czeladnika. Dano mu fartuch Helwecjusza. I jak twierdzi P. Hazard: *„W ten sposób wszedł do masonerii człowiek, który ku zdumieniu Loży jeszcze do niej nie należał, choć od tak dawna z nią współdziałał".*

Masoni wywarli wpływ na wydanie „Encyklopedii". Nie ulega dziś wątpliwości, iż bracia zamierzali opublikować słownik wszystkich sztuk wyzwolonych i wszystkich pożytecznych nauk. Wielki mistrz zakonu, Ramsay, oświadczył w przemówieniu 31 marca 1737 r. *„Zapoczątkowano już to dzieło w Londynie* (chodzi tu o Encyklopedię Chambersa z 1728 r. a Chambers był masonem — W.H.), *ale połączonym wysiłkiem naszych braci będzie można udoskonalić je w przeciągu niewielu lat... I w ten sposób w jednym dziele zebrana zostanie wiedza wszystkich narodów..."* I tak też się stało.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

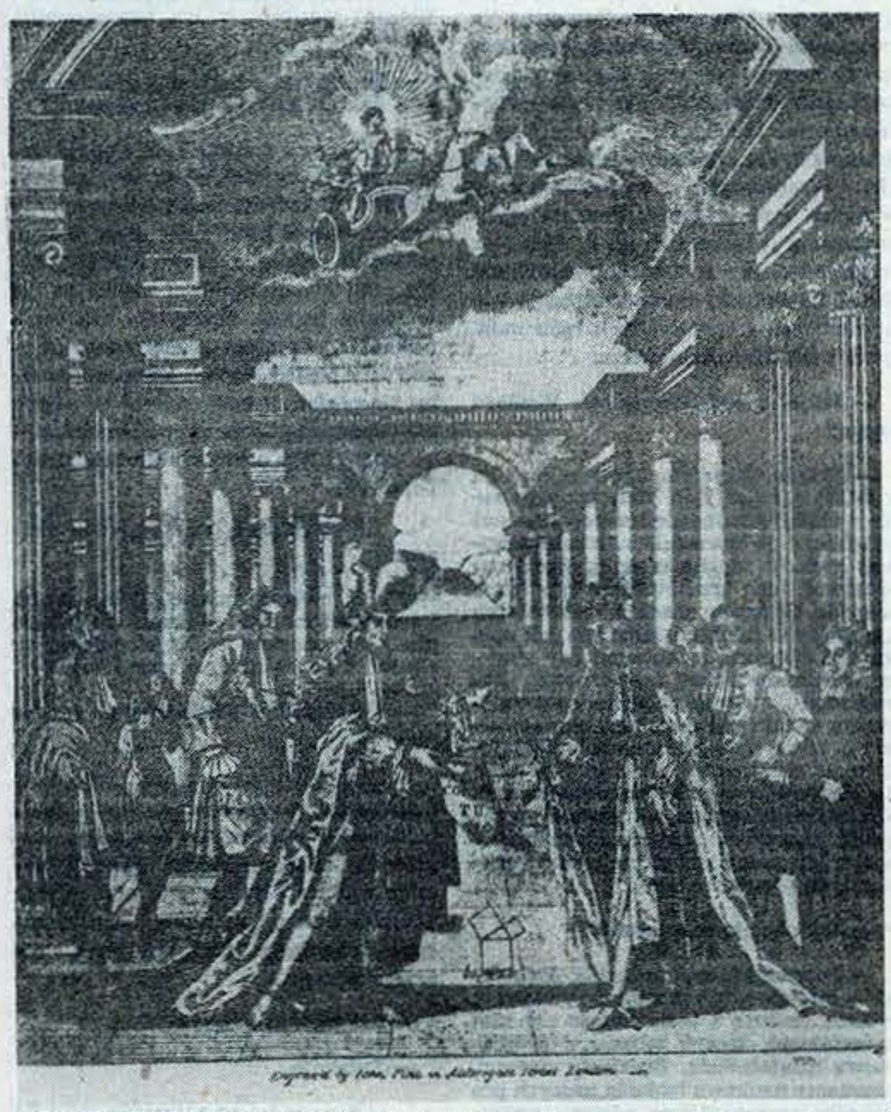

Nadanie Konstytucji Masońskiej z 1723 r.

Homo czy hetero?

Zaczęło się w Nowej Soli

— Kim jesteś?

— Jestem homoseksualistą, mam 27 lat, abstynent, nie piję, nie palę. Urodziłem się i wychowałem w Nowej Soli. Z zawodu jestem pielęgniarzem, pracuję w jednym z warszawskich szpitali. Bliżej zainteresowanych moim życiem odsyłam do numeru 5/88 „Polityki". Oficjalnie jestem rzecznikiem warszawskiej grupy inicjatywnej ruchu homoseksualnego. Na razie nie mamy stałej nazwy — najogólniej chcielibyśmy nazywać się „grupą GAY".

— Jak doszło do tego, że z Nowej Soli przeniosłeś się do Warszawy?

— W Polsce nie było do tej pory oficjalnej reprezentacji homoseksualistów. Potrzeba takiego ruchu stała się koniecznością wraz z pojawieniem się AIDS. Ponadto istniało wiele innych problemów od dawna trapiących środowiska homoseksualne, które wymagały rozwiązania. Homoseksualiści nie zawsze czuli się bezpieczni, że wspomnę choćby o słynnej akcji „Hiacynt" — masowa akcja wyłapywania i rejestrowania homoseksualistów. Jednak mimo prób rozwinięcia zorganizowanej działalności w różnych ośrodkach, nikt nie chciał zająć się sprawą poważnie, brakowało odważnych. Dlatego zdecydowałem się na wyjazd do stolicy. Przygotowywałem się do tego przez dwa lata korespondując i spotykając się z kolegami z całego kraju i tą drogą zbierałem informacje o najistotniejszych problemach. Kiedy powstało zagrożenie AIDS, uznałem, że nie można dłużej zwlekać, trzeba pomóc kolegom. Uważam, że właśnie my, jako grupa zwiększonego ryzyka, jesteśmy predystynowani do podjęcia stosownych kroków. Nie tylko we własnym interesie. Obecnie trzon grupy liczy ok. 30 aktywnie działających. Jest to jednak liczba płynna, na jednej z naszych dyskotek było 80 osób a liczba osób oczekujących na efekty naszej pracy jest dużo, dużo większa.

— To, że przyjechałeś z prowincji, nie utrudniało Ci działania?

— Wręcz przeciwnie, fakt, że iskra poszła z Nowej Soli bynajmniej nikogo nie zniechęcił. Uznano, że jako osoba wolna od lokalnie panujących układów, nie skrępowana pewnymi znajomościami, nie mająca wrogów na tym terenie, tym łatwiej dopnę założonych celów.

— Jak wyglądały dotychczasowe losy Waszego ruchu na płaszczyźnie oficjalnej?

— Przełom nastąpił wiosną 87. Jedna z dziennikarek PR nagrała audycję poświęconą naszym problemom, której emisja odbyła się w sierpniu 87. Następnie pomógł nam jeden z warszawskich klubów osiedlowych oraz uzyskaliśmy poparcie przedstawicieli jednej z masowych organizacji. Również wiosną 87 za uważyło nas Ministerstwo Zdrowia i Towarzystwo Rozwoju Rodziny, które pomogły nam w ustaleniu kierunku działania pożytecznego dla nas i całego społeczeństwa. Bardzo nam pomogły programy z cyklu „Rozmowy intymne" red. H. Wasilewskiej, przygotowywane wspólnie z moją grupą. Ponadto opracowaliśmy już statut, drogą oficjalną poinformowaliśmy o naszych zamiarach MSW. Zdobyliśmy także akceptację wielu sławnych i szanowanych osób m.in. posła prof. M. Kozakiewicza.

— Jakie są podstawowe cele Waszego ruchu?

— Przede wszystkim skuteczna walka z AIDS a co za tym idzie propagowanie związków monogamicznych jako najprostszej i jednocześnie najskuteczniejszej metody zapobiegawczej. Będziemy lansowali ideę tzw. bezpiecznego seksu w ogóle. Ogromne znaczenie ma integracja grupy w takich działaniach jak opieka nad chorymi, samotnymi czy starymi członkami naszej społeczności. Zamierzamy współdziałać ze społeczeństwem w zakresie profilaktyki zdrowotnej a także w inicjatywach zmierzających do eliminacji z naszego środowiska elementów i grup kryminogennych. Wierzę, że taką postawą zdołamy przełamać niezdrową pruderię i zamkniemy epokę ignorancji wobec mniejszości seksualnych w naszym kraju.

— Jak chcecie to osiągnąć?

— Poprzez kluby, kawiarnie, dyskoteki — miejsca gdzie moglibyśmy tworzyć własną kulturę i jednocześnie w niej uczestniczyć, łączyć zabawę z programową działalnością. Będziemy otwarci, poprzemy naukowe badania naszych problemów, zorganizujemy odczyty, wystawy, dyskusje zbliżające nas do reszty społeczeństwa. Pomysłów mamy wiele.

— Sądzę, że ruch powinien kształtować Wasze środowisko, proponować i wprowadzać pewną etykę życia erotycznego i publicznego homoseksualistów. Jak to widzisz?

— W miarę poszerzania wpływów, ruch musi doprowadzić do złagodzenia konfliktów naszej grupy z otoczeniem. Nikt dotychczas nie interesował się ilością rozwodów na tle homoseksualnym, nikt nie liczy nie chcianych dzieci małżeństw będących tylko formą kamuflażu. To jeden z ważniejszych problemów, które często prowadzą do tragedii rodzinnych, przykrych dla obu stron. Swoim działaniem musimy stworzyć homoseksualistom takie warunki, w których nie musieliby uciekać przed sobą przy pomocy sposobów godzących w poczucie etyki i moralności społecznej a ich samych skazujących na potępienie i alienację.

— Kim więc powinien być homoseksualista?

— Normalnym obywatelem — pracowitym, uczciwym, kulturalnym, wrażliwym. Powinien ciągle dążyć do tego, aby być lepszym od przeciętnego obywatela w pracy i w życiu. Tak uważam osobiście i takie są również intencje ruchu. Ponadto powinien być solidarny z grupą w walce z AIDS, wrażliwy na wszelkie związane z tym apele naszego ruchu jak również na słuszne apele innych grup i organizacji społecznych.

— A wobec heteroseksualistów?

— Tolerancyjny!

— Wróćmy do twoich korzeni. Wychowałeś się w Nowej Soli, niewielkim mieście. Jak Ci się tam żyło?

— Homoseksualiści na prowincji żyją w diasporze, muszą ukrywać swoją inność. W Nowej Soli w latach siedemdziesiątych istniał jeden z naszych barów, wokół którego wytworzyła się namiastka życia grupowego. Ja, wówczas jeszcze nastolatek, nie w pełni akceptujący swoją inność, nie brałem w nim udziału. Później żyło mi się ciężko. Wreszcie wyjechałem do Warszawy w celu rozwinięcia ruchu, to najlepiej charakteryzuje moje życie na prowincji.

— Co w takim razie zamierza zrobić ruch dla homoseksualistów na prowincji?

— Chcemy dać im poczucie przynależności do grupy, uwolnić ich od samotności. Po osiągnięciu możliwości wydawniczych nasze materiały skierujemy głównie do nich. Chcemy zahamować „emigrację" homoseksualistów do dużych miast a nawet za granicę. W tym celu trzeba zapewnić kolegom z małych miejscowości poczucie bezpieczeństwa i własnej wartości w ich bezpośrednim otoczeniu.

— Drażliwym punktem jest nazewnictwo. Jak chcielibyście być nazywani?

— W języku polskim funkcjonuje słowo „pedał", najczęściej w sensie obraźliwym. W krajach anglojęzycznych z pejoratywnym jeszcze w latach 50-tych i 60-tych wyrazem „gay" poradzili sobie sami homoseksualiści używając go w swoim języku. Gdybyśmy tak samo postąpili z wyrazem „pedał", jego pejoratywny odcień szybko zneutralizowałby się. Jeżeli jednak komuś ta nazwa nie odpowiada, może używać angielskiego „gay", które ostatnio stało się bardzo popularne.

— Jak wyglądają twoje plany, marzenia?

— Na pierwszym miejscu dobro ruchu i wierność mojego chłopaka. Podjęcie pracy na oddziale AIDS w jednym ze szpitali i po prostu być szczęśliwym.

— Co chciałbyś powiedzieć na zakończenie?

— Uważam unormowanie problemów mniejszości seksualnych za konieczne i możliwe. W obliczu wzrastającego zagrożenia AIDS, nasze idee uzyskują wymiar ogólnospołeczny. Nie oczekujemy wielkiej pomocy ze strony społeczeństwa, pragniemy tylko, aby nam nie przeszkadzano.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję.

Rozmawiał **SŁAWOMIR GOWIN**

Ze wspomnień sekretarki

DYREKTOR

EWA FOSS

Budynek biurowy stał w głębi parku. Spotykałam się na przystanku z kreślarką Kasią i dalej szłyśmy razem.

Czasem wyprzedzała nas dyrektorska wołga. Puszczałyśmy się wtedy biegiem, by tylnymi drzwiami zdążyć, nim do sekretariatu wkroczy dyrektor. Był to mężczyzna w sile wieku, niski i bardzo chudy. W przeciwieństwie do tego nazywano go Poduchą, ponieważ na jego fotelu zawsze leżała poduszka.

Któregoś ranka szurnęła koło mnie wołga i mignęła mi twarz szefa. Rzuciłam się w bok i podrałowałam znaną mi ścieżką. Wpadłam do sekratariatu — wprost na Poduchę!

Wszedł do siebie i nie zdejmując płaszcza kazał mi połączyć się z kadrami. Przez otwarte drzwi usłyszałam jego głos.

— Wy, Trzebińska, siedzicie i p.....e w stołek. A tymczasem moje pracownice wypinają cycki i spacerują po parku!

Zaskoczona Trzebińska zapytała prawdopodobnie o kogo chodzi.

— O moją sekretarkę, do cholery! — wrzasnął Poducha i rzucił słuchawkę.

Pracowałam dopiero dwa miesiące i bałam się Poduchy jak ognia. Mimo to uznałam za stosowne zabrać głos we własnej obronie. Starając się wciągnąć jak tyko się da przyrodzone wypukłości, stanęłam w drzwiach gabinetu.

— Panie dyrektorze, przepraszam, ja nie spacerowałam. Szłam do pracy. Była siódma za pięć...

Poducha zdejmował właśnie płaszcz.

— Wy mi tu nie p.....e, tylko pracujcie, bo za to państwo wam płaci. Koniec. Niech teraz przyjdzie do mnie ta tłusta k...a Jurecki.

Inżynier Jurecki był pierwszym zastępcą Poduchy. Wizualnie stanowił przeciwieństwo swego szefa: okrągła twarz, kręcone włosy, zarysowujący się brzuszek. Bardzo przeżywał każdorazowe wejście do Poduchy.

Usłyszałam w słuchawce głos Poduchy: — Dajcie mi Rojka.

Połączyłam się natychmiast z działem technicznym, ale inżyniera Rojka nie było. Wprowadziło to Poduchę we wściekłość. Wyskoczył z gabinetu i pobiegł w kierunku pokoju, w którym pracował Rojek. Nie zdążyłam uprzedzić telefonicznie siedzących tam ludzi, toteż widok dyrektora dosłownie, jak potem mówili, poraził ich.

— Gdzie Rojek? — wrzasnął Poducha.

— Poszedł na stronę — pisnęła cicho pani Maria.

— Gdzie?

— Do toalety — poprawiła się, tracąc oddech.

— Gdzie, do jasnej cholery?

— W ustępie jest, panie dyrektorze — wyjaśnił kulawy pan Zdzisio, przykrywając papierami szklankę z herbatą.

Poducha odwrócił się i pomknął korytarzem. Drzwi oznaczone dwoma zerami były zamknięte. Walnął w nie pięścią i zawołał:

— Rojek, ty koński ch..u, ja ci nie za s....e płacę, tylko za robotę!

Terror w firmie był wielki i bardzo rzadko przychodziła komuś myśl, że można by gdzieś poskarżyć się na dyrektora. Ale znalazł się jeden odważny, znalazło się też paru gotowych do poświadczenia prawdy i powstała afera, która trwała kilka tygodni. Powołano komisję społeczną do zbadania prawdziwości zarzutów, a raczej ich ... zamydlenia. Autor skargi został osamotniony, potępiony i przeniesiony do pracy w terenie. Na bardzo dobrych, zresztą, warunkach, co wszystkim wydawało się najdziwniejsze.

— Nagrody trzeba przydzielać takim, żeby się potem wiedziało, kto pod kim ryje, kto z kim śpi i która któremu daje — mawiał Poducha.

Starsi pracownicy wspominali pierwsze jego wejście do zakładu. Przyszedł rano do kadr, ubrany roboczo, że niby chce się angażować do pracy. Wypytywał, podpatrywał, podsłuchiwał i kręcił się po budynku przez pół dnia.

— Co wy tam wyprawiacie ch..e bana nowe? — powitał go szef.

Nic więcej nie słyszałam, bo drzwi zostały z hukiem zatrzaśnięte. Rzeź niewiniątka trwała dobry kwadrans. Jurecki wyszedł czerwony jak burak.

Poducha zwoływał narady niespodziewanie. Ludzie rzucali pracę, piorunem zasuwali szuflady, zgodnie z instrukcją zamykali biurka i pokoje na klucz — i szli do sali konferencyjnej. Sala urządzona była jak wiele podobnych sal w tym czasie: prezydium z ustawionym pośrodku nieco wyższym krzesłem dla Poduchy i vis a vis rzędy krzeseł.

Zajmowaliśmy miejsca, starając się zachowywać jak najciszej, a potem siedzieliśmy, czekając, aż odezwie się Poducha. Nikt, łącznie z jego dwoma zastępcami, sekretarzem komitetu zakładowego partii i przewodniczącym rady zakładowej nie wiedział, co ma być omawiane. Każdy mógł być wyrwany do odpowiedzi na nieznany temat. Każdy też mógł zostać obśmiany i wyzwany. Czuliśmy się jak oskarżeni, oczekujący wyroku.

Poducha uwielbiał takie sytuacje. Czuł się panem. Omiatał wzrokiem salę i zaczynał zwykle, ni w pięć, ni w dziewięć, na przykład tak:

— Jadę sobie wczoraj ulicą, patrzę a tu Chrucek Kazimierz, na przystanku pod parasolem stoi, jak prostytutka

Albo:

— Idę dzisiaj korytarzem, cisza, nikogo nie ma, tylko te trzy p...y — tu wskazał palcem na trzy struchlałe koleżanki z rachuby — stoją i wcale się mnie nie boją.

Po takim wstępie wygłaszał coś, co miało nam przypomnieć, że budujemy zręby, a w związku z czym mamy pracować i walczyć o wydajność, a nie o.....ć się. Potem dopiero przystępował do właściwego tematu narady...

Z akt personalnych wynikało, że Poducha ukończył Politechnikę Gliwicką i miał tytuł magistra inżyniera. Miał też za sobą kursy partyjne w Warszawie i Moskwie. Mimo to był właśnie — taki. Kiedy powtarzałam w domu jego odezwania się, nie wierzono mi...

Do ludzi sobie podległych odnosił się w sposób skandaliczny. Nigdy nie widziałam, by z kimś rozmawiał serdecznie i życzliwie. Łatwo wpadał w złość, a wtedy ryczał na cały budynek. Gdy zdarzyło się, że ktoś nie wytrzymał i w jakiś sposób zaprotestował przeciwko zachowaniu się dyrektora, Poducha natychmiast uspokajał się, ściągał twarz i recytował:

— Co wy mi tu będziecie truć. Ja nie przez d..ę ani przez gorzałę zostałem dyrektorem. Mnie partia i rząd tutaj postawili!

Nazajutrz zjawił się już w galowym mundurze. W towarzystwie przerażonej kierowniczki kadr przeszedł po pokojach i wskazując palcem wyrokował:

— Piszcie. Tę wy.....ć. Tę posłać na urlop, bo jest zmęczona. Temu dać mniejsze biurko. Tę z wielką d..ą przesadzić pod okno, bo zawadza. Tego z nosem jak palant przenieść...

I tak dalej.

Czasem ktoś przedrzeźniał dyrektora, a potem niepostrzeżenie przejmował jego sposób wyrażania się.

Kiedyś usłyszałam w słuchawce głos jednego z panów:

— Cześ Basia, pół litry, k...a, mosz?

— Mom — odpowiedziałam.

— No to ide, k...a, do ciebie.

Zachowanie się dyrektora czyniło go potworem. Ale podobno i on miał swoje dobre strony. Mówiono, że niekiedy załatwi wszystko, o co się go poprosi. Trzeba tylko mieć szczęście. Byli ponoć tacy, którym załatwił mieszkanie, zapomogę, studia dla dzieci, czy coś podobnego.

Czasem zachowywał się dziwnie. Któregoś razu Kasia o mało nie zemdlała z wrażenia, gdy znienacka schwycił ją za łokieć:

— Niech przystanie i zaraz odpowie. Słyszałem, jak Jurecki mówił coś do tej nowej z technicznego, a ona mu na to: „niech mnie pan nie drzoźni". Niech mi powie, co ta nowa miała na myśli?...

Wystraszona Kasia zdołała wybąkać:

— Nie wiem, panie dyrektorze.

Przerwa obiadowa trwała pół godziny. Ludzie stawali w kolejce oglądając się na drzwi. Gdy salę przebiegał szept „idzie", zgarniali z talerzy co mogli — w papier lub do kosza i uciekali. Z wejściem dyrektora cichły rozmowy. Ustawał nawet skrzyp krzeseł i szczęk łyżek.

Za to bardziej słyszalne stawały się odgłosy z kuchni, zwłaszcza komendy kierowniczki, pani Resi:

— Daj no to podgardle! Trzymaj go za ucho! Przewróć, bo jeszcze za blady na brzuchu! Siekaj ją i syp, bo stygnie!

Ale nawet pani Resia milkła, gdy przez okienko ktoś nadał, że zbliża się Poducha.

Ze stołówką sąsiadowała sala konferencyjna, co było wygodne podczas okazji zakrapianych alkoholem i popijanych obficie kawą. Akurat weszło w modę picie kawy. Każdy dział otrzymywał służbową kawę. Mimo to, gdy wchodził dyrektor, znikały z biurek szklanki. Pracownicy krztusili się kęsem kanapki, nawet cukierki przykrywali papierem.

Któregoś razu zobaczył Poducha panią Wandę z zaopatrzenia, gdy wysiadała z samochodu, trzymając w ręce loda. Podniosła głowę do góry i, jak potem mówiła, popatrzyła przez sekundę na świeżo zawieszony transparent z napisem „witamy gospodarza". Zakład szykował się do mającej nastąpić nazajutrz wizyty ważnej osoby.

Za pięć trzecia Poducha zwołał naradę. Wysłuchał relacji z przygotowań do jutrzejszej uroczystości, po czym poprawił się w krześle i wycelował palcem w panią Wandę:

— Wstańcie towarzyszko Pilek i powiedzcie wszystkim, coście robiła dzisiaj — spojrzał na zegarek — o dwunastej piętnaście? Nic nie mówicie? No to ja powiem za was. Towarzysze! O godzinie dwunastej piętnaście, podczas gdy my — zatoczył ręką krąg — żyliśmy zagadnieniami, towarzyszka Pilek lizała loda! Załoga włącza się w żywotne sprawy kraju, a towarzyszka Pilek sobie liże i śmieje się z transparentu! To jest towarzysze, sprawa polityczna!

Przestraszonej pani Wandzie pomógł przypadek. Dyrektora odwołano nagle do telefonu, a potem zapomniał o całej sprawie.

Odwiedziny, wizytacje, delegacje, spotkania, słowem wszystkie imprezy z udziałem wysoko postawionych osób były prawdziwą udręką. Poducha tak wszystkich torturował, że kięliśmy i mieliśmy dość. Gońcy zgonieni byli do ostatniej kropli potu. Kierowcy siedzieli w oczekiwaniu na dyspozycje. Kuchnia utrzymywała gotowość czasem do rana, podobnie jak wszyscy, wchodzący w skład tzw. aktywu.

Po części oficjalnej wysokie figury przenosiły się do pokoiku za gabinetem dyrektora. Pokoik posiadał wyjście na mały korytarz z łazienką i w.c. Tam, ukryta dyskretnie za szafą, dyżurowała czasem całą noc sprzątaczka Róża, by w razie katastrofy — a zdarzały się takie gościom, sprzątnąć szybko toaletę.

Rozgorączkowana szefowa kuchni w krótkiej, czerwonej sukience osobiście donosiła tace, półmiski i wazy. Wcześniej wstawiano tam skrzynki z alkoholami, sokami i pepsikolą oraz pudła z upominkami. Stół dekorowano kwiatami, jabłkami i pomarańczami.

Będąc sekretarką Poduchy przez dziewięć miesięcy przeżyłam co najmniej siedem lub osiem takich imprez. Gdy goście sobie podpili, chcieli panienek. Wychodzili i łapali, co się dało...

Miałam przykazane siedzieć w sekretariacie do wyjścia ostatniego gościa i muszę wyznać, że gdy po raz pierwszy przyszło mi pełnić ten obowiązek, znalazłam się w nader kłopotliwej sytuacji... To mnie nauczyło, że podczas takich „godzin nadliczbowych" bezpieczniej jest być ubraną w... spodnie.

Poducha wyszukiwał sobie ofiary wśród osób cichych i skromnych. Toteż szybko wziął na widelec koleżankę imieniem Stenia. Jechał samochodem i traf chciał, że akurat Stenia otwierała okno.

Tego samego dnia wypunktował ją na naradzie, że zamiast pracować, cycki sobie opala.

Pewnego razu ktoś mu doniósł, bo donosicieli nie brakowało, że Stenia wyszła do parku, gdzie oczekiwała ją starsza córka z młodszą w wózeczku. Powiedział potem:

— Są wśród nas takie, co w godzinach pracy d..y dzieciom ucierają!

Nadszedł 8 Marca. Około południa zwołano kobiety do sali konferencyjnej i usadzono według wieku: starsze bliżej prezyzdium, najmłodsze pod ścianą. Stanął przed nami dyrektor:

— Ja tam kobiet nie lubię. Ale towarzysz X. złożył wam życzenia, to i ja wam życzę.

Po chwili dodał:

— Każdą dostanie 500 zł. Niech tylko podpisze w kasie — przygroził.

— Ludwik — zwrócił się do sekretarza komitetu zakładowego — nalej im po centymetrze.

Kiedy trzymałyśmy w rękach kieliszki z nalanym do wysokości centymetra winiakiem, dyrektor zawołał w kierunku stłoczonych w progu mężczyzn:

— Co stoicie jak na pogrzebie? Wesoło ma być. Niech tam który jaki kawał, k...a, opowie, albo wiersz.

Żaden z mężczyzn nie zaryzykował, tylko przewodniczący rady zakładowej przecisnął się z naręczem goździków. Każda dostała przepisowy „kwiatek dla Ewy". Pani Resia z dziewczynami poroznosiły kawę.

— Było święto kobiet? — zapytał dyrektor. Sam sobie odpowiedział — „było" — i poszedł. Wtedy Ludwik, niczym gospodyni zaganiająca kury do kurnika, począł powtarzać:

— No sio kobitki do kasy, sio...

Gdy odchodziłam z firmy, Poducha był u szczytu sławy. Jego nazwisko nie schodziło ze szpalt gazet, sprawował bowiem kilka znaczących funkcji społecznych.

Minęły lata i wiele się zmieniło. Któregoś dnia niespodziewanie natknęłam się na pana Wieśka, który w tamtych czasach był kierowcą Poduchy. Powiedział mi, że nasz były szef po moim wyjeździe wspiął się jeszcze wyżej i sięgnął po jeszcze wyższe dostojeństwa. W burzliwych latach 1980-81 spadł, jak to określił pan Wiesio, z pieca na łeb. Oficjalnie odszedł z funkcji i stanowisk ze względu na zły stan zdrowia. Mieszka w miejscowości letniskowej. Podobno hoduje króliki.

Nie zazdroszczę tym królikom. Tego samego zdania jest pan Wiesiek.

Sceny miłosne w literaturze pięknej

NIEZNAJOMA Z POCIĄGU

SEBASTIAN LOST

OBÓZ

Wrócił do baraku w kiepskim humorze. Wyjść z obozu *lege artis*... To niemal dezercja.

Trwało zebranie kółka literackiego. Podporucznik Leon P. czytał jakiś wiersz, kończył go słowami:

Rzekłem, a rzekłszy tę wróżbę hiobową

wierzę, że Ona dźwignie się na nowo...

Brawa. Wstał kierownik kółka, kapitan Adam Z., kiedyś nauczyciel polonista, coś gdzieś drukował, mówił, że u jakiegoś Czernika, jakby każdy musiał wiedzieć, kim był Czernik. Miał więc patent literata.

— No — powiedział — ale żeby nie zostać na tej chmurnej poezji, i żebyśmy sobie przypomnieli lata wolności, pełne kobiet i wina, odczytam wam opowiadanie. Napisałem je wczoraj, chodziło za mną całe lato... Kto się zgorszy — może mi postawić piwo. Tytuł *Świt rzeźbiarz*.

— Czytaj, nie uprzedzaj — zestrofował go ktoryś.

Adam Z. wyjął z kieszeni równo złożone kartki, począł czytać. Czytał głosem wytrawnego belfra polonisty:

Nuda dalekich podróży polskim pociągiem w latach, kiedy spóźnienia były duże, ogrzewanie wagonów należało do wspomnień z lat niewoli, zaś oświetlenie można było sobie zafundować prywatnie, jeżeli się wiozło świeczkę, lampę karbidową albo elektryczną latarkę, ta nuda wydaje mi się dziś bajecznie treściwa i zabawna. Nie mogłem się nadziwić, wtedy kiedy znowu nadeszły miesiące stabilizacji, a było to po zamachu majowym, kiedy na stację wtaczał się pociąg dokładnie o wyznaczonej godzinie, ruszał zgodnie z rozkładem jazdy i dojeżdżał do celu mniej więcej o czasie. Było to budujące, choć jakby zrządzone kaprysem losu. Człowiek lubi niespodzianki, bo ileż przeróżnych zdarzeń zanotowała pamięć z tamtych lat, kiedy się czekało, miało nadzieję i czas na rozejrzenie się po twarzach, nogach i biustach przyszłych współpasażerek oczekiwanego pociągu...

— No, no, niezły początek — zachichotał ktoryś z oficerów młodszego rocznika.

Adam Z. czytał dalej:

Zdarzyło się to więc kiedyś. Była noc i pociąg wtoczył się na peron z trzygodzinnym opóźnieniem. Wsiadłem przemarznięty. W przedziale siedziały trzy osoby: chłopak, dziewczyna i kobieta o pięknym profilu, rysującym się na tle okna, którego brudną, nigdy chyba nie mytą szybę malowało w szare plamy światło dalekiej i wysokiej latarni. Usiadłem przy drzwiach, zatuliłem nogi w szal, postawiłem kołnierz. Pociąg ruszył i mijane latarnie wyświetlały raz po raz piękny profil siedzącej przy oknie kobiety. Miała kształtną głowę...

— Jasne, reszty na razie nie było widać — skomentował inny, gmerząc w paczce papierosów.

...ładnie przycięte włosy, nos Chopina, wydatny podbródek, wysokie czoło. Patrzyła na młodych, tulących się do siebie zapewne nie tylko z zimna, zdawało mi się, że czasem się uśmiecha, jej profil łagodniał na chwilę i znowu zastygał w majestatycznej urodzie greckiej rzeźby. Koła stukały miarowo o złącza szyn, latarnie się skończyły i przedział wypełnił gęsty mrok. Była prawie północ, niebo gwiaździste, księżyc świecił z mojej strony przedziału, rozjaśniając korytarz, w którym tylko jeden człowiek stał i wsparty o metalowy występ parapetu palił fajkę.

— Pozwoli pan, że się położę — usłyszałem niski, ładnie brzmiący głos...

— Ładne, kiedy kobieta prosi tak ładnie — zauważył trzeci i zakaszlał, raczej nerwowo.

— Ależ oczywiście — odparłem.

Jej głos podziałał na mnie jak balsam. Ułożyła nogi na twardej ławie, zrzuciwszy pantofelki, nakryła stopy grubym kocem, głowę wsparła o drewniany podłokietek na ścianie pod oknem i usiłowała zapewne zasnąć. Para młodych korzystając z ciemności poczęła uprawiać flirt pod kocem, ich oddechy nabierały tempa. Poczułem na lewym udzie ciepło stóp mojej sąsiadki, takie ciepło, które przeszło przeze mnie jak podmuch monsunu czy innego boskiego wiatru. Zastygłem w rozkosznym cieple...

— Ja bym też zastygł, chociaż nie jestem pewien... — wtrącił czwarty.

— Jak nie jesteś pewien, to bądź cicho! — sfukał go pierwszy.

Kobieta nie cofnęła stóp, nie mogła zresztą, była wysoka. I bardzo dobrze, że była wysoka i że nie mogła się skurczyć. Jej ciepłe stopy zastępowały mi grzejnik, zaś myśl o tym, co kryje jej ciało, sprawiała, żem zapomniał o chłodzie panującym w przedziale. Pociąg jechał spokojnie, wiatr gwizdał w szczelinach okien, nie myślałem o niczym innym, o niczym takim, co by zakłócało moje myśli o niczym, to znaczy o tej pięknej nieznajomej pani, która leży obok i odpoczywa w długiej podróży, korzystając z braku pasażerów. Była bezpieczna, sąsiedztwo pieszczącej się pary młodych zapewniało ją, że z mojej strony nie grozi jej żaden atak. Moje lewe udo stanowiło dobre oparcie, a że było także ciepłe, musiało oddawać jej takie samo poczucie miłej błogości, jak jej stopy mnie całemu. Pociąg nie pędził, nie był to pospieszny, biegł miarowo, jak dobrze przygotowany biegacz maratoński, który nie wieść radosną niesie, ale biegnie po nagrodę pewny, że nie ma rywali.

— No, widać, że to pisał człowiek obkuty w klasycznej literaturze! Ale to całkiem ładne, czytaj! — zachęcał piąty.

Dziewczyna westchnęła cicho, to znaczy, że pieszczota dłoni chłopca uczyniła swoje. Przywarli do siebie, nakryci kocem. Teraz on począł szybciej oddychać. Oddawała mu widać, co wzięła, i to było coraz bardziej denerwujące...

— Jak atmosfera w tym baraku, kiedy kolega czyta... — bąknął najmłodszy z oficerów.

Ciepło stóp mojej sąsiadki rosło, zdawało mi się, że jej stopy parzą moje lewe udo, byłem podniecony jak chłopak z przeciwka i nic na to nie umiałem poradzić. Tkwiłem w przedziale naładowanym erotyzmem jak jezioro elektrycznością podczas gwałtownych wyładowań burzy. Poczułem, że stopa mojej sąsiadki silniej wpiera się w moje lewe udo, mogło to znaczyć, że przysnęła i prostuje ciało we śnie, ale mogło także być sygnałem, zaczepką, początkiem flirtu podobnego temu, jaki uprawiała para z przeciwka. Nie drgnąłem, nie odpowiedziałem nawet skurczem mięśnia. Cały byłem oczekiwaniem. Drugie wsparcie stopy nastąpiło kilka minut później. Oparła się o mnie, przycisnęła do ściany i tak zastygła. Nie mogła więc uczynić tego przez sen, choć oddychała miarowo. Był to więc sygnał wywoławczy, zaproszenie do pieszczoty. Wsunąłem dłoń pod koc, objąłem jej kształtną łydkę...

— Zuchwalec z pana autora! Ma kto ogień? — to już odezwał się major Czesław Z.-P. I począł pieścić łysinę.

Ciepłe, miłe, jędrne ciało jej nogi poraziło mnie falą takiego pożądania, jakie spada na człowieka zawsze wtedy, kiedy przelatuje między dwojgiem ludzi ta iskra, od której zaczyna się żywiołowy pożar, a ten ugasić może tylko natychmiastowe spełnienie. Było bez znaczenia, że jej gest, bo to był gest przecież, musiał być sprowokowany przez tamtych dwoje, to się udziela. Nie widziała mnie w mroku, najwyżej teraz mój profil na tle księżycowej szyby, nie wie kim jestem, zapewne nie obchodzi jej kim jestem, chce mojego ciepła, nie broni się przed moją dłonią, która nie uczyniła jeszcze bodaj żadnego ruchu na jej łydce, po prostu legła na niej zażywając lubego ciepła i kształtu, które na każdym mężczyźnie czyniłyby takie samo wrażenie.

— No pewnie! — westchnął najmłodszy i sapnął.

Znowu wzmocniła nacisk stopy na moje lewe udo. Wtedy przesunąłem dłoń wyżej, na biodro wyniosłe jak góra Karmel. Ani jednej fałdy tłuszczu, ani jednej zapadliny w skórze. Moja dłoń ześlizgnęła się pod jej spódnicę i zastygła na chwilę w oczekiwaniu potwierdzenia, że mile tam czuta...

— Coś takiego! Jaki tam ostrożny!

...że działamy we wzajemnym porozumieniu. Teraz westchnął chłopak, zwarli się, siedząc w przytuleniu, i wstrzymali oddechy, które ich zdradzały. Zapewne dłoń dziewczyny przyniosła mu ulgę. Moje napięcie było zupełne. Gdyby tych dwojga nie było w przedziale... Poczułem, że dłoń kobiety przesuwa się na moją dłoń i darzy ją krótkim, silnym uściskiem. A więc to tak... Teraz już tylko marzyłem, żeby pociąg stanął, żeby tamta młoda para wysiadła i zostawiła nas samych. Bałem się myśli, że mógłbym uwolnić moją dłoń z jej dłoni, wsunąć między parzące uda i oddać się pieszczocie już całkiem bezwstydnej. To było kuszące. Gdyby jej stopa uniosła się wyżej i zanurzyła między moje uda, spaliłbym się natychmiast, byłem bliski eksplozji. I ona się podniosła i zanurzyła palce między moje uda. Westchnąłem, zakaszlałem, żeby nakryć tym dźwiękiem, tym dysonansem to, co się stało. Pieściła mnie stopą, nie bacząc, że jej pończocha nasiąka lepką wilgocią. Jej palce były tak ruchliwe... Objąłem jej stopę prawą dłonią i przycisnąłem do podbrzusza, żeby przedłużyć oszołomienie.

Rys. LESZEK HERMANOWICZ

— Swintuch z waćpana!

Lewą dłoń wsunąłem tam, gdzie jest siedlisko jej rozkoszy. Nieznajomy z nieznajomą, w pociągu pasażerskim na trasie Warszawa — Krotoszyn. Czułem, że za chwilę i ona zwilży moją dłoń, poddawała się mojej pieszczocie lekkimi ruchami bioder. Pociąg stanął na stacji. Nikt nie wysiadł. Przedział zalało żółte światło. Spojrzałem na twarz kobiety. Udawała, że śpi. Młodzi patrzyli w okno, nasyceni na tę chwilę, żadnie spojrzało w naszym kierunku, zajęci miłością, myślami byli całkowicie nieobecni w tym przedziale o twardych ławach wagonu trzeciej klasy. Twarz mojej kobiety wydawała mi się jeszcze piękniejsza. Powiedziałem „mojej kobiety", bo ona już była moja, byliśmy pokalani grzechem cichym i krzyczącym zarazem, związani porozumieniem dwojga kochanków.

— Grzech cichy i krzyczący, zabawne!

Czas płynął miarowo, młodzi oparci o siebie głowami jak konie na nocnej łące, zasnęli. Stopa mojej kochanki znowu poruszyła palcami w poszukiwaniu mojej męskości i znalazła ją w pełni sił, bawiła się nią z wprawą masażystki, gdy moja lewa dłoń zanurzała się w ciepłą kipiel, w której tonęła bez opamiętania.

— To pornografia, panowie! Kończ pan, wstydu oszczędź!

Buchnęło śmiechem.

— Cenzura obyczajowa? Tego jeszcze tu nie było!

— Mogę czytać? — spytał autor, rzeczywiście niepewny, czy nie przesadził w ekshibicjonizmie.

— Czytać!

Znad lasu począł wyłaniać się świt, zrazu szary, ostrożny, jakby się rozglądał, czy nie zaatakują go znienacka siły nocy. Usłyszałem kroki konduktora. Z hukiem odsunął drzwi. Młodzi otworzyli oczy, kobieta cofnęła stopy, usiadła. Konduktor wciągnął powietrze w wielkie chrapy potężnego nosa, który wywąchał niejedną cysternę gorzałki, zmarszczył się, widząc jak szybko wsuwa swoje pięknie, w świetle jego latarki, sklepione stopy w leżące na podłodze pantofelki. Przyświecał jej latarką, na pończosze błysnęła mętna łza mego nasienia, sapnął nieprzyjaźnie i wyszedł. Siedzieliśmy sztywno, pod oknem, ja przy drzwiach, nagle skarceni, przywołani do rzeczywistości, zawstydzeni, w poczuciu winy i grzechu, który się sam popełnił..

— Grzech, który się sam popełnił, gratka! Tylko tak grzeszyć!

Huragan nerwowego śmiechu.

Świt mężniał, patrzyłem na profil milczącej kobiety. Siedziała sztywno, patrzyła w przeciwległy kąt. Zauważyłem, że rosnące światło wydobyło z kąta prawej powieki kurzą łapkę zmarszczki. Delikatna siateczka. Po chwili — świt nabierał pewności, że nocy już nie ma — zjawiła się rysa, od nosa w dół, ku podbródkowi. Patrzyłem jak urzeczony. Każda minuta wydobywała z jej policzka nową rysę i kolejną zmarszczkę. Świt wydobywał ją z czasu, w którym ukryła ją noc, rzeźbił powoli, beznamiętnie. Błysnęło słońce nad lasem, nie mogłem oderwać oczu od dzieła światła; dobywało z mojej kochanki-niekochanki jej wiek, rok po roku, dekadę po dekadzie. A kiedy słońce wyjrzało znad zieleniejącej linii lasu, jeszcze pokrytego nocnym szronem — ujrzałem kobietę w całej jej urodzie wspaniałej matrony. Mogła sobie liczyć lat pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć...

— O Boże! — westchnął najmłodszy.

— Nie znasz kobiet — skomentował najstarszy.

...jej piękne włosy, które wydawały mi się ciemne albo kasztanowe, pokrywało srebro. Nie zdejmowałem oczu z jej twarzy, bała się obrócić ją ku mnie, pozwalała światłu na dokończenie dzieła zniszczenia. Po czym powoli poczęła obracać swoją klasyczną głowę, jakby w obawie, że zobaczy potwora. Popatrzyła na mnie i ujrzałem w jej oczach mieszaninę ulgi, prośby o wybaczenie, wstydu i wdzięczności, która z wolna ustępowała miejsca rozbawieniu. Miałem dwadzieścia pięć lat. Pociąg, zgrzytając hamulcami, stawał. Kobieta podniosła się, przeczesała włosy w lustrze nad głowami pary młodych, którzy niеodmiennie patrzyli w okno, to znaczy w siebie. Sięgnęła po koc, złożyła go sposobem wojskowym.

— A więc samarytanka! — zachichotał major i starł grube krople z potężnej łysiny.

Wstałem. Pomogłem jej zdjąć walizkę. Powiedziała „dziękuję". Wychodząc dodała: „Co za noc. Do widzenia państwu". Zeszła na peron. Patrzyłem na nią. Była wcieleniem gracji, stąpała jak baletnica. Niosła swoją walizeczkę w prawej dłoni, przez lewe przedramię przewiesiła koc złożony po wojskowemu. Jej śliczne łydki wystające spod wełnianego płaszcza koloru jej włosów, migały jak wahadło zegara, aż znikły w otwartych drzwiach jakiejś stacji, której nazwy nie pamiętam. To było gdzieś na trasie Warszawa — Krotoszyn.

Urwał, popatrzył na salę, wyraźnie rad. Jakby zrzucił z siebie gniotący go latami ciężar.

— Koniec? — spytał autor wiersza.

— Koniec — powiedział Adam Z. i schował kartki do kieszeni battledressu, zafasowanego już w obozie, bo jego własny mundur poszarpał wybuch.

W baraku zapanowała cisza naładowana elektrycznością, to znaczy męskim, skumulowanym i nie rozładowanym erotyzmem. To był nagły wyrzut myśli za druty, gdzie podobne przypadki pewnie zdarzają się i teraz.

— No, no — powiedział major — mamy talent. Kochanek lady Chatterley mógłby się od pana wiele nauczyć. — I co za perwersyjna osóbka!

— Pięćdziesiąt lat to nie osóbka, to muzeum! — krzyknął najmłodszy.

— Chłopcze — zgniewał się major — kiedy dojdziesz do pięćdziesiątki poznasz, że to dopiero początek... początek, ponieważ wtedy już człowiek zastanawia się nad końcem...

— Nad końcem to ja miałem okazję zastanawiać się w okopach, mając dwadzieścia dwa lata. (...)

PO LATACH

Weszła Baśka. Stanęła w drzwiach. Otaksowała stół. Ubyło dużo wódki, ubyło tartinek, ale więcej zostało. Takim to podać kawał mięcha i miskę zupy, toby zjedli.

— Poszli już?

— Chodź tu.

— Na co?

— Chodź tu.

Podeszła, stanęła metr od Wojciecha.

— Bliżej.

— Na co?

— Chcę cię zgwałcić.

— Phi! Też coś.

— Pytała mnie Jadwiga, czy z tobą żyję.

Baśka zapłoniła się mocno.

— Nicem nikomu, nigdy!

— Płakałaś.

Zauważyła stłuczony kryształ.

— Sprzątnę to. Podać gorące?

— Nie jestem głodny.

Przyciągnął ją ku sobie. Ciepłe, znajome, jędrne ciało. Zobaczył w sobie tamte schadzki sprzed czterech lat, przy księżycu, na wilgotnej trawie parku. Musiała zobaczyć w sobie to samo. Wstał, ujął ją za dłoń i poprowadził do sypialni. Szła bez oporu, tyle że z zamkniętymi oczyma.

Najpierw się jej przyglądał, długo, bacznie, przemierzając każdy centymetr jej bujnego ciała. Patrzyła na jego blizny. Położyła dłoń na najgłębszej. Poczęła ją delikatnie pieścić opuszkami palców. Jej oczy zwilgotniały na chwilę i wyschły jeszcze szybciej, ale to złowił. Przyciągnął ją do siebie, przywarła doń, wstrzymując oddech, żeby unieruchomić wzruszenie. Dotyk jej piersi. Położył się na wznak i zamknął oczy w oczekiwaniu, że powtórzy scenę przy księżycu. Po chwili poczuł, że się powolutku nań przewala, osiada na nim pozwalając swoim piersiom na tamtą, zapamiętaną z parku, pieszczotę jego policzków i warg. Utonął w niej, nie otwierając oczu i była taka chwila, że wyobraził sobie w niej Eleonorę, ale tylko chwila. Poddawał się jej kołysaniu z rozczuleniem pacjenta rehabilitowanego przez fachową, delikatną masażystkę. A potem zasnął.

Obudziła go po północy jej dłoń. Przesuwała ją po jego śpiącym ciele delikatnie, jakby go wietrzyk muskał, od szyi, przez tors, brzuch, uda, sen topniał w cieple jej dłoni, i kiedy otworzył oczy, zobaczył i poczuł jednocześnie: obejmowała to, co urosło we śnie, i co nie było snem..., przypatrywała się temu z uwagą badaczki, w kącikach jej ust siedział uśmieszek, ni to dziewczynki, ni to rozpustnicy. Oglądała męskość swojego mężczyzny nie wiedząc, że jest oglądana w tym podziwie... Była rozczulająco zabawna. Puknął ją palcem w łopatkę, jak się puka do drzwi. Nie puściła przedmiotu swego uwielbienia, owszem, zacisnęła dłoń, i kiedy ich oczy spotkały się — wybuchnęła srebrnym, pozłacanym nawet śmieszkiem...

(Fragmenty prozy pochodzą z powieści pt. „Bastard" wydanej przez „Iskry" w 1987 roku)

ODPOWIEDZI LITERACKIE

Adam S. Wolsztyn. Nadesłane utwory „Ach, to myślenie" i bez tytułu („Pomyśl, zanim pomyślisz czy jesteś") nie mają żadnej wartości artystycznej. Ich jedyną zaletą jest próba refleksji egzystencjalnej w kontekście narodzin i sensu istnienia świata. Ta próba jest wszakże patetyczna i napuszona, zbyt powierzchowna, aby traktować ją serio, i aby mogła inspirować do refleksji głębszych, odkrywczych. Ponadto, operuje pan słowem zbanalizowanym, nie sięgając do właściwych poezji metafor, porównań, przenośni... Myślę wszakże, że w tych tekstach pobrzmiewa ton lekkiej ironii i tą drogą powinno zdążać pańskie zainteresowanie. Redukując plytką tonację powagi na rzecz groteski i sarkazmu być może osiągnie pan ciekawsze rezultaty, także artystyczne.

Dorota S. Zielona Góra. Dziękuję za sympatyczny i zarazem bardzo skromny list. Nadesłane miniatury liryczne, osnute na kanwie zamyślenia nad światem i własnym losem, są jednak na razie zbyt uproszczone i nieco naiwne. Przeważa nastrój smutku, zwątpienia i rozpaczy (*„zatopiłam się w siebie / i umarłam / z rozpaczy / nad nicością / tego / co mnie otacza"*) — a więc nastrój dość charakterystyczny dla młodych ludzi, którzy zapatrzeni we własne ego doznają wyłącznie uczuć rozczarowania i niepewności, uczuć niewiary w dobro, przyjaźń, serdeczność. Z biegiem lat mija to sfrustrowanie, uzyskuje się inne miary i wartościowania, dojrzewająca świadomość umożliwia lepsze i bardziej obiektywne ocenianie świata i własnego w nim miejsca. Na razie więc nie skorzystam z propozycji, doradzam jednak kontynuowanie tych pięknych zainteresowań poezjotwórczych oraz systematyczne wzbogacanie własnej kultury literackiej. A to jest możliwe przede wszystkim dzięki rozległym lekturom wierszy poetów najlepszych.

Romualda P. Nowa Sól. Pisze pani w liście m.in.: *„Ostatnio odczuwałam potrzebę podzielenia się z kimś swoimi poglądami przeniesionymi na papier i wówczas po raz pierwszy przeczytałam wśród przyjaciół swój wiersz. Usłyszałam same szczere słowa, że to nie jest takie złe i to, że powinnam skontaktować się z kimś, kto by dobrze i fachowo określił, ile to jest warte"*. Dziękuję więc pani, że wybrała właśnie „Nad odrze", choć z pewnym żalem muszę szczerze odpowiedzieć, iż nadesłane dwa utwory nie mają wartości, które zazwyczaj określają to, co potocznie nazywamy poezją. Owszem, mogą się one podobać swoją treścią i potoczystością narracji, mogą wzbudzać podziw i wzruszenie podczas towarzyskich spotkań dzięki szczerości wyznań dotyczących głównie takiego uczucia, jakim jest miłość, lecz nie oznacza to, że są to utwory poetyckie. Pomijając nieporadność formalną, brakuje mi w tych tekstach pięknego obrazowania, odkrywczej metafory, ładnego porównania lub świeżej alegorii. Doceniając tedy pani próby poezjowania sądzę, że na razie nie dają one powodu do publikacji.

Bożena R. Żywiec. Z zainteresowaniem przeczytałem trzy nadesłane erotyki, pełne świeżości, szczerości i gorzkiego ciepła. Są w nich ładne wersy, proste i przejmujące, ale w całości każdy z utworów posiada jakieś skazy. Myślę, że można do nich zaliczyć zbędne dopowiedzenia, skłonności do stawiania jednoznacznej pointy. Poza tym zbyt wiele w tych miniaturach lirycznych pustosłowia i wyeksploatowanych już w poezji motywów. Niemniej, radzę nie porzucać swoich zainteresowań i podążać tropem wiersza „Wyznanie", jednego z lepszych spośród nadesłanych. Ładne jest zwłaszcza zakończenie utworu. Ono to wskazuje na talent literacki, który z pewnością pani posiada.

Janina W. Świebodzin. Ze wzruszeniem przeczytałem pani utwory, poświęcone wzniosłym i pięknym tematom, takim jak Ojczyzna, ziemia, uczucia religijne. To dobrze, że znajduje pani w ten sposób sens swego życia, które znaczyły liczne lata doświadczeń i dramatycznych przeżyć. Choć to pani poezjowanie nie można zakwalifikować jako dojrzałe utwory artystyczne, to dobrze, iż jest ono dla pani terapią i samoobroną, jest potrzebą serca i rozumu, jest koniecznością. Proszę się nie zrażać ironicznymi uwagami sąsiadów. Nie każdy został obdarzony talentem, ale każdy z nas ma prawo do spisywania własnych myśli i przeżyć.

Zbigniew H. Bytom. Trzy nadesłane wiersze są w zamyśle interesujące, lecz zostały skonstruowane ze stereotypów, używanych już niejednokrotnie przez wielu poetów. Najciekawszy jest utwór pt. „Symptomy jesieni" ze względu na oryginalne obrazowanie. Niestety, wszystkie teksty mają różne mankamenty artystyczne, razi ponadto dość ubogie słownictwo. Dziękuję, nie wykorzystam.

Mieczysław J. Sosnowiec. Nadesłane utwory nie mają żadnej wartości artystycznej. Stąd brak pretekstu do dialogu. Przykro mi.

Z.Ł.

...Na twoich ustach

Czwarty tom prozy Wojciecha Czerniawskiego „Challenger ląduje na twoich ustach" potwierdza, po pierwsze, talent pisarza, oparty głównie na umiejętności rozległego, bogatego obrazowania. Po drugie: od swego pierwszego tomu prozy „Dziennika zapomnienia" poprzez ewolucję tematu i zmiany formy autor z książki na książkę wyzwala się pozostając równocześnie wierny sobie. Wyzwala się od czynników zewnętrznych: pamiętnika ojca, mitologii ojca, biografii zdeterminowanej rodowodem. Nie tylko dlatego, że literacko spożytkował już te problemy, ale dlatego, że z tomu na tom jego prozą rządzi zasada coraz bardziej otwartego, rozległego widzenia. Wierny jest Czerniawski filozofii tego procesu: to co lokalne, swojskie zniszczone, biedne podnoszone zostaje do rangi ogólnoludzkiej (człowieczej) dostojności, piękna, wysokości Paryża, Nowego Jorku, katedr, pałaców. Czytamy: *„Ten człowiek w łachmanach, który umarł z głodu, zamarzł na drodze został niewinnie stracony, ten człowiek, którego miejsce wiecznego spoczynku pozostaje nieznane, którego pamięci nikt nie czci, który nie został nigdy pośmiertnie zrehabilitowany, jest Papieżem, odwiedza biednych"*. To tylko jeden z obrazów owej „rehabilitacji", na której zbudowana jest ta proza.

Materia narracyjna jest w „Challengerze" odmienna niż we wcześniejszych książkach Czerniawskiego, lecz jak w poprzednich skupia się, wiruje, pędzi i rozwija wokół jednego, centralnie umiejscowionego faktu, zdarzenia, problemu, by wokół niego snuć bardzo wieloznacznie uwartościowaną tkankę skojarzeń, przemyśleń, ocen, wnioskowań i przekonań o naturze współczesnego świata, przechodząc od bardzo subiektywnych zdań do wysoce faktograficznego dyskursu.

W omawianej książce tym wyzwalającym wydarzeniem, centralnym bytem, jest rozpadający się statek kosmiczny — wahadłowiec Challenger. To z jego powodu pisze Czerniawski „książkę dla NASA". Nie dajmy się zwieść tytułowi zbyt dalece. Tyleż jest to książka o tym katastroficznym wydarzeniu, co po prostu o całym, możliwym do poruszenia, z perspektywy autorskiego „ja" świecie. Można byłoby zapytać: dlaczego akurat właśnie wokół Challengera dzieje się rzyczywistość tej książki? Myślę, że wyraża się w tym wyborze tendencja do fascynacji i przerażenia istnieniem. A cóż bardziej współcześnie może fascynować, jeśli nie start statku kosmicznego? I cóż bardziej przerażać jeśli ten statek, ten pojazd na oczach milionów ludzi rozpada się? Jeśli w nim będący, zdeterminowani żądzą wyrwania tajemnicy wprost z trzewi kosmosu, ludzie giną? Katastrofa Challengera stała się najbardziej widomym znakiem wielkości i jednocześnie kruchości naszej epoki. I w książce Wojciecha Czerniawskiego następuje swoiste zawirowanie rzeczywistości, przemieszczenie współczesności i historii, realności i wyobraźni. Na stosie tego wydarzenia zostaje podkreślona — właśnie kontrastowo — wartość samego istnienia. Cóż pisarz może uczynić? Tendencji do negacji, do zaniku wartości, może przeciwstawić własną skalę prawdy i moralności. Ta książka jest wyrazem artystycznego przeciwstawienia się katastrofie. Pisarz może sprawić, że niejako żywot owego Challengera nadal jest możliwy, możliwy i konstruktywny, jeśli dzięki jego pisarskiemu wysiłkowi, pod ciągle zmienianymi postaciami, jako realny, magiczny, poetycki byt nadal leci, leci tym razem przez prozatorską rzeczywistość. Wnika w jego prywatność, w historię tę bliższą i tę dalszą, w egzystencję wielu ludzi. Ale wnikając sprawia, że wyniesiona zostaje owa prywatność, lokalność, historia bliższa i dalsza, na wysokie rejony, na kosmiczne wyżyny, gdzie jawnie widoczna staje się absurdalność poczynań ludzkości, szczególna absurdalność okrucieństwa i niesprawiedliwości. Zawsze bowiem staramy się przymierzyć życie człowieka do wartości stałych, których nie dotyczy żadna relatywizacja. Tu — w prozie Czerniawskiego — tą instancją nadrzędną staje się, w trakcie lektury, kosmiczność. Kosmiczność katastrofy ale i siła twórczości. Cała ludzkość, wraz z jej brutalnością, „zwłokami powieszonych przywódców" powstania 1863 roku, „Masami uchodźców", ale i z fascynującą „dobrocią otaczającą niektórych ludzi", z tej ostatecznej perspektywy, z perspektywy katastrofy, jawi się jako odpowiedzialna. Klarowna i jasna we wszystkich elementach. Trzeba tedy stwierdzić, że napisał Czerniawski wspaniałą książkę, książkę wynikłą z konsekwentnego myślenia, z niezgody na determinanty osobistego, i nie tylko, losu lub biografii. Powieść ta jest też próbą artystycznego towarzyszenia człowiekowi w przekraczaniu granic Globu. Tak. Dlatego jest to książka ważna nie tylko w skali tzw. rewolucji artystycznej w prozie. Ukazuje proces chwytania nowych sensów i znaczeń konkretnych, codziennych zdarzeń i wykonywanych czynności. Tak, jakby myślenie poetyckie, magiczne, odrywające się od tradycyjnych ujęć rzeczy, właśnie stawało się tym najbardziej sprawnym w pojmowaniu nowej sytuacji człowieka. Jakby — ta odrzucana ze względu na niepraktyczność — poezja była jedynym systemem, dzięki któremu możliwa będzie humanizacja człowieka ery kosmicznej. I z tego względu — powiedziałbym — należy cenić książkę Wojciecha Czerniawskiego.

Efekt ukazania ogólnoludzkiej odpowiedzialności wynikł nie tylko z wprowadzenia symbolicznego Challengera na stronice książki. Lecz przede wszystkim z ujęcia świata jako totalnej jedności, w którym nie ma poczynań bez skutku lub wymykających się osądowi. W „Challengerze", który jest, poza wymienionym odniesieniem, książką o historii i cywilizacji kręgu polsko-europejskiego, w którym to zdarzyły się wszystkie zbrodnie i zniewolenia, zwłaszcza zbrodnia „pieców", Czerniawski przeprowadza, pomiędzy bardzo odległymi jakościowo zjawiskami, precyzyjne linie związków, linie refleksji cywilizacyjno-historiozoficznych, fascynujące i niesamowite. Czerniawski uzmysławia czytelnikowi, jak wytrawny badacz, wtajemniczony podróżnik, albo medialny obserwator wszechrzeczywistości, ubogość jednotorowego, scjentystycznego poznawania. Jeśli opowiadamy się za istnieniem tajemniczej pełni, to musimy dopuścić możliwość błyskawicznych przejść refleksji i wyobrażeń — przykładowo — od Marii Antoniny oszałamiająco witanej przez „cały Paryż" poprzez „katedrę Świętego Stefana w Wiedniu w szklanym powozie w drodze do Paryża", poprzez „Tędy przechodziły napoleońskie wojska", poprzez „Tamte chabry" do Treblinki, gdzie „obóz był przy szosie", do Challengera, który „zobaczył dwie kobiety" — i jeszcze — za którym „wędrowała kobieta, która miała pomarszczoną twarz"...

Tak więc idą te linie poprzez historię, ale i w ogóle poprzez wszelką rzeczywistość — od ogólności ku zwyczajnemu konkretowi, od sił epokowych ku światu ciem, owadów, ptactwa. Przykładowo: „delikatne żyły na przegubach rąk" w takim samym stopniu uczestniczą w procesie dziejowym, co prezydenci, władcy. Jest to ważne zagadnienie. Czerniawski dla różnych jakości ustanawia jedną płaszczyznę. Wspólną płaszczyznę. Współczesność. Mówi o faktach z różnych epok, ale mówi o nich tak jak by działy się współcześnie, co więcej, jakby był ich obserwatorem, kronikarzem. Wtrącając pełnoprawnie, uściślająco: „Brakuje tylko pewnego upadku na drodze". A tak wyrazić się może rzeczywiście ktoś, kto czuje się właśnie wręcz bezpośrednim świadkiem, weryfikatorem prawdy historycznej. Czerniawski zaciera granicę pomiędzy wiedzą nabytą a określoną przez biograficzne doświadczenie. Ale swoją prozę kształtuje tak, jakby wszystko u niego było biograficznym doświadczeniem. A zarazem doświadczeniem ogólnoludzkim. To też to, co dzieje się w jego prozie, podawane jest wszechwładnemu zabiegowi ożywienia w obszarze wewnętrznym. Stąd już tylko krok do aktu zapisania. Stąd też pełnoprawność aktu przetapiania rzeczywistości według własnych reguł w opowieść dziwną z dziwnych. Zauważmy, że niemal zawsze narrator tej prozy właśnie ustawia siebie w pozycji naocznego świadka. O czym częstokroć nas czytelników, bezpośrednio powiadamia: „(...) zauważyłem, że ma ręce pomarszczone tak jak twarz." Niekiedy zaznacza, że chodzi mu o „widzenie oczyma wyobraźni". Ale to jakby dla uspokojenia tych, którzy chcieliby pojmować prozę Czerniawskiego wyłącznie w kategoriach wewnętrznych przeżyć. Jest ona przecież tyleż subiektywnością, co obiektywnością zarazem. Na tym polega jej niesamowitość. Po prostu odbieramy ją jako prawdziwą wieloznaczność.

Zastanawiać też może fakt, że u pisarza nadwrażliwie odczuwającego upokorzenie, niesprawiedliwość, ból nie ma żadnej demonologii, żadnych bestii pożerających jedne drugie, żadnych ostrych starć Dobra ze Złem. Czerniawskiemu obcy jest. manicheizm. Raczej z premedytacją przyjmuje postawę rewelatora. Dlatego częstokroć zachowuje się jak mag, który nie może ignorować tego, co przechodzi przez jego świadomość, gdyż każde ograniczenie prowadziłoby do rozłamania ontologicznej spójności „ja". Pisarska rola w pewnym stopniu zmierza do samego ujawnienia tajemniczego zjawiska. Nie zawsze musi ono być do końca objaśnione. Ta gra, pomiędzy irracjonalnym sensem a sensem w pełni zrozumiałym, toczy się w prozie Wojciecha Czerniawskiego nieustannie.

Zwyczajność, wręcz trywialność losu, nie jest w stanie pozbawić człowieka godności. Zawsze jesteśmy na jakimś placu świata. Rzeczą Czerniawskiego jest udowodnić, że ten „plac" może być tyleż samo istotny, co każdy inny. Wypełnia się więc jego przestrzeń całym światem. Wyzwala się narrator z kompleksów prowincjonalności, a także z tradycyjnie pojętej chłopskości. Odbywa nieustannie wielką podróż, bez wyzbywania się korzeni, od swej narodowej przeszłości ku uniwersalizmowi. Czyni to nie w imię osobistego interesu, osobistej, prywatnej racji. Bohater „Challengera" ujmuje swoje powołanie, cyt: *„Współczesny mnich zapisujący coś bardziej ulotnego niż mijające chwile. Obserwujący zmartwychwstanie duchowe tych najbiedniejszych, poniżonych."* Ta obiektywna konstatacja upewnia go, iż sztuka, którą tworzy nie rozmija się z rzeczywistością.

Można jednak zapytać, jak dalece tę społeczną i osobistą nadzieję obejmuje spełnienie. Przekładając problem na prostsze pojęcia — powiedzmy — jest Czerniawski rewelatorem rzeczywistości, ale też ciągle mamy przed oczami jednak obraz rozpadu wahadłowca, który już jest tyleż amerykański, co ogólnoludzki. Uważam, że żywioł destrukcji jak i moc, wysiłek konstrukcji świata, mają się na kartach tej książki w idealnej wręcz równowadze. Narrator sprawuje nad nimi swą władzę na tyle, że nie są w stanie zagrozić wewnętrznemu „ja". Można się zastanawiać: fascynacja czy przerażenie? Raczej jedno i drugie. A nade wszystko dziwność istnienia wplątana w trwanie i przemijalność postaci świata. I wszystko to spisane na własny rachunek, bez podpierania się czymkolwiek. Myślę, że będzie się wracać jeszcze do prozy Wojciecha Czerniawskiego niejednokrotnie.

CZESŁAW SOBKOWIAK

Wojciech Czerniawski: **Challenger ląduje na twoich ustach**, Iskry 1987, s. 68.

KSIĄŻKI

Skalpelem ironii

Alfred Siatecki w swoich dotychczas opublikowanych książkach z niezłymi rezultatami penetrował środowiska wiejskie i małomiasteczkowe, obnażając mechanizmy życia, ujawniając towarzysko-urzędowe układy i powiązania w tych małych środowiskach społecznych i zawodowych, leżących na odzyskanych ziemiach, złożonych z ludności autochtonicznej jak i napływowej, osadniczej, przybyłej tu z różnych stron kraju. A wiadomo, że w takim tyglu społecznym rodziły się różnego typu dramaty i konflikty, zawiązywały się więzy przyjaźni. Polaryzowały się postawy obyczajowe i polityczne, uwidaczniały się różne sposoby życia, gospodarowania i stosunków wobec nowej rzeczywistości.

Autor, rzetelny znawca wiejskiej problematyki i wnikliwy reporter, zdołał w swej fabularnej prozie właściwie wykorzystać te atuty, tworząc opowiadania gęste od wydarzeń i zaludnione postaciami o zindywidualizowanych cechach charakterologicznych. Warto też dodać, że akcję swej prozy lokalizował zwykle w latach siedemdziesiątych, w których nie tylko żyło się nam dostatniej, ale zarazem powstawało wiele anomalii społecznych, rozwijało się łapówkarstwo, nieraz zdeprawowana lokalna władza wchodziła w niezbyt etyczne stosunki z ludnością a hasło o jedności moralno-ideowej Polaków stawało się coraz bardziej sloganowe i li tylko oficjalno-propagandowe. Nie trzeba tedy dodawać, że autor mógł korzystać z bogatego tworzywa, ze znanych mu z autopsji realiów, z wydarzeń rozgrywających się na ziemi mu najbliższej.

Jeśli pisarski rodowód Siateckiego pochodzi przede wszystkim z jego dziennikarskich i reporterskich doświadczeń, to prawdą jest i to, że te doświadczenia potrafi on wykorzystać w transpozycji literackiej, ujmując obraz widzialnego i opisywanego świata w karykaturalne ramy, w konwencję zbliżoną do groteski. Widoczne to już było w debiutanckich „Podzwonnych ręczniakach" (1980), nasiliło się w następnych zbiorkach. Obserwowanie zjawisk negatywnych i przedstawianie ich w karykaturalnym, krzywym zwierciadle — mocno legło u podstaw dalszej twórczości Alfreda Siateckiego. Ale przecież nie tylko on podążył takim szlakiem. Wcześniej Zdzisław Morawski w powieści „Nie słuchajcie Alojzego Kotwy" (1979) za pomocą groteski obnażył niektóre dolegliwości ówczesnego życia społecznego, a w międzyczasie ukazała się powieść Zbigniewa M. Jelinka „Dział ogłoszeń" (1984), będąca satyryczną analizą negatywnych mechanizmów społecznych, toczących jak rak tkankę naszej codziennej egzystencji.

Z dużym poślizgiem wydawniczym ukazała się ostatnio kolejna książka Alfreda Siateckiego, zatytułowana „Jubel" — powieść wyróżniona trzecią nagrodą w konkursie „Książki i Wiedzy" w 1984 roku. Utwór, wzbudzający wiele kontrowersyjnych opinii, jest już wyraźnie napisany skalpelem ironii i groteskowej satyry, jednoznacznie i jednostronnie krytyczny w swej wymowie wobec tego wszystkiego, co działo się w latach siedemdziesiątych w pewnym niewielkim lubuskim miasteczku, przygotowującym się do obchodów 700-lecia.

Siateckiemu patronuje Gogol, którego sentencja otwiera powieść: *„Nie ma takiego zła, którego nie można by naprawić, trzeba jednak wiedzieć, na czym ono polega."* Czy to ambitne wezwanie zdołał autor udźwignąć i odpowiedzieć na nie prozą o wysokich artystycznych lotach? Czy zdołał „wymierzyć sprawiedliwość widzialnemu światu"? Czy potrafił ukazać go w pełnym wymiarze zła i dobra, sprawiedliwości i fałszu, prawdy i zwątpienia? Oto pytania, jakie nasuwają się podczas lektury tej powieści, pytania, na które trudno jednoznacznie odpowiedzieć.

Narrator powieści wspomina swoje lata szkolne w dość nużącej opowieści, poczem dowiadujemy się, że ukończył wyższe studia i jako dziennikarz odwiedza miasteczko swojej młodości, gdzie spotyka znajomych z lat szkolnych i zostaje wciągnięty w miejscowe układy, będąc zarazem obserwatorem i uczestnikiem przygotowań do obchodów 700-lecia miasteczka. Ten narrator już w latach szkolnych był obdarzony nieprzeciętnym zmysłem krytycznej obserwacji i gorzkiej, starczej wręcz przesadnie, autorefleksji: *„Wspominkowym wzrokiem skweru się uczepiłem: ani jednej butelki, tylko opakowania po popularnych, papierki po cukierkach, prezerwatywy, poszarzałe ścierki, waty i ligniny, połamane i zmiętoszone krzaki róż przekwitniętych. A ławki jak dawniej oblazłe z farby."* A o swoim sportowym kibicowaniu pisze nieco dalej: *„Dopiero kiedy w powszechnym czynie społecznym — za dwa miliony tamtych złotówek — nad brzegiem przewielebnej Odry zbudowano okolony płotem betonowym i sznurami drutu kolczastego prawdziwy stadion, podobno największy w województwie, po raz drugi wstąpiłem do kliki zawodników, lecz znowu nie na długo. Siła wyższa chwyciła mnie za uszy."* Nie muszę nikogo uświadamiać, jak wiele pustosłowia i wymyślonej deformacji zawierają tego typu sformułowania, jak nadmiar ekspresji ciąży nad takimi tendencyjnymi opisami, jak wreszcie zamierzona parodia deformuje się w wielosłowiu i pretensjonalności! Dopiero w dalszej części powieści, kiedy narrator zostaje wciągnięty w interpersonalne rozgrywki, opowieść nabiera tempa, staje się bardziej wiarygodna a bohaterowie, zróżnicowani charakterologicznie, potrafią zaintrygować czytelnika.

Rzecz zadziwiająca: główny bohater powieści i zarazem narrator jest postacią najmniej ciekawą, anemiczną i stale nieznośnie krygującą się, jak to czynią bohaterowie pierwszych książek Zygmunta Trziszki. Rządzą nimi prawa minoderii i rażącego pretensjonalizmu, odbieranego wbrew autorowi z całą powagą. Pisze Siatecki: *„Mistrzu pióra wieczny, sam do siebie powiedziałem, gdy mi w brzuchu zabulgotało, rzuć tę żurnalistykę i weź się za coś pożytecznego. Za co?"* Miało to zabrzmieć prześmiewczo, a jest zgoła inaczej... A wcześniej autor snuje takie oto „zasadnicze" refleksje: *„Pierwszego wieczoru, wyciągnięty na tapczanie, natrętny głód od siebie odganiałem i myślałem, od czego zacząć swoją służbę. Długo zastanawiałem się, czy w inauguracyjnym reportażu z miasteczka nie opisać zasług naczelnika. Przecież musiał się czymś zasłużyć. Ale zaraz na błędzie nie tyle myślowym, ile taktycznym się przyłapałem. Doświadczony dziennikarz, a za takiego redakcja mnie brała, powinien zacząć od prezentacji pierwszego sekretarza albo przewodniczącego rady narodowej. Jeszcze lepiej by było, gdybym odnalazł ze trzech kombatantów pobrzękujących medalami i pochwały władz zażądał. Czy któremuś źle na emeryturze? Listonosz pieniądze przynosi, opieka po paczki wzywa, zapomni który, to mu mąkę do domu przyniosą. To taki na władzę zechce narzekać? Naczelnika będzie opluwał? Z sekretarza się śmiał? Bohaterów trzeba umieć wybierać, przekonywałem się."*

Siatecki znalazł ciekawych bohaterów, sięgnął po ważki społecznie temat — obrachunkowy z minioną dekadą. Lecz nie potrafił równomiernie rozłożyć akcentów, totalnie wszystko negując przy pomocy ironii i szyderstwa. Groteska została przerysowana i przestała bawić, jątrzyć, zmuszać do refleksji. Straciła swoje funkcje katharsis. Zabiła ją jednoznaczność, stępił język mało elastyczny i mało wieloznaczny. A swoją drogą, skąd ta maniera umieszczania orzeczenia na końcu zdania? Kłania się znów Zygmunt Trziszka ze swoim „Nauczycielczakiem". Tylko, po co zaraz go naśladować?

„Jubel" Alfreda Siateckiego nie jest, niestety, prywatnym radosnym jublem autora. Tak myślę...

ZENON ŁUKASZEWICZ

Alfred Siatecki: **„Jubel"**. „Książka i Wiedza". Warszawa 1987 r. Str. 272. Nakład 30 tys. egz. Cena zł 250,—

WIDEO KLUB

Filmy na lato

Seks z półświatka

Antoine (Michel Blanc) kocha Monique (Miou-Miou), Monique pożąda Boba (Gerard Depardieu), a Bob dostał takiej ma ii, że (jak znany nam skądinąd amator Stefanii) chce tylko z... Antoine. Akcja toczy się wartko między elegancką dzielnicą willową, a smutnym ubogim przedmieściem. Przestępcy, prostytutki, homoseksualiści, transwestyci i między nimi nasi bohaterowie. Seks, zboczenia, ekscesy.

Jak gdyby za dużo wszystkiego. Film ciekawy, ale chaotyczny, o co francuscy krytycy obwiniają reżysera — jest nim popularny w Polsce głównie jako aktor, zresztą jeden z najznakomitszych aktorów starszego pokolenia, Bernard Blier.

Dwie rzeczy są niewątpliwie warte zobaczenia. Pierwszy to wizerunek uchodzącego za symbol męskości Depardieu, przebierającego się jak Bob w damskie ciuchy i robiącego słodkie oczy do mężczyzny Druga, to przemiana dotychczas normalnego seksualnie Antoine w „ciotę", poprzedzona krótką i nieudaną ucieczką w „macho". Po obejrzeniu filmu ktoś podobno powiedział, że gdy zapala się światło, widzowie patrzą na siebie podejrzliwie, nie wiedząc już w końcu, kto jest kobietą, a kto mężczyzną. Tytuł w tłumaczniu na język polski „Strój wieczorowy".

Kochanek z komputera

Ulysses ma świetny wygląd, wyjątkową wprost inteligencję, a jako kochanek jest wprost cudowny. Nic więc dziwnego, że — jak rozumuje reżyserka Susan Seidelman — zapracowany po uszy Frankie Stone, który nigdy nie miał czasu na romanse, zakochuje się we wspaniałym Ulyssesie. Dowcip jednak w tym, że Ulysses to... maszyna! Można go w stosownej chwili... wyłączyć, w przeciwieństwie do partnerów z krwi i kości.

Film zawiera mnóstwo żartów i zaskoczeń, a w końcu okazuje się, że wszystko razem nie jest filmem, lecz jego symulacją z komputera. Roboty śmieją się do rozpuku, a widzowie od czasu do czasu ziewają. Dzieło to nie należy do osiągnięć reżyserki Seidelman (tej samej, która wcześniej nakręciła film z Madonną!). Główne role grają: Ann Magnusson i John Malkovich. Tytuł tłumaczony z francuskiego brzmi „Mężczyzna na zamówienie".

Zabić fotoreportera

W błocie leży mężczyzna. Jego twarz pokrywa grząska maź. Trudno rozpoznać kim jest. Jedno jest pewne, że znajduje się w sytuacji groźnej. Stoi nad nim „szwadron śmierci". — Wykastrujmy go! — proponuje ktoś. — Zabijmy go od razu! — woła ktoś inny. Kim jest ów leżący mężczyzna i czym zasłużył sobie na tak surową karę?

Otóż jest to Richard Boyle, który robił zdjęcia w Salvadorze, podczas toczącej się tam wojny domowej. Okazuje się, że zdjęcie może być równie niebezpieczne jak nabita broń. Każdy moment wojny domowej utrwalony na kliszy wyraża stanowisko fotoreportera.

Film opowiada autentyczne historie z El Salvador. Główne role grają: James Woods, Jim Belushi i John Savage. Reżyserem jest Oliver Stone, ten sam, który później nakręcił drastyczny film „Pluton", wyświetlany aktualnie w polskich kinach. „Salvador" uchodzi za obraz bardziej ostry, konsekwentny i okrutny, niż „Pluton".

Dwie Julie w jednej osobie

Młoda kobieta imieniem Julia żyje między przeszłością a przyszłością, oscylując między rzeczywistością a marzeniem. Nie jest to normalne. Co się stało?

Przed sześciu laty Julia straciła męża. Wypadek samochodowy zdarzył się w dniu ślubu. Stojąc u progu szczęścia, doznała wrażenia, że nagle zawala się świat...

Teraz ma męża, rodzinę, sama jest też matką. Mimo to równocześnie jest... wdową — która po długim okresie żałoby zakochuje się w tajemniczym fotografie.

Paranoja? Rozdwojenie jaźni? Tak czy owak Julia jest przypadkiem dla psychologów.

Ale w sumie nikt nic nie wie, łącznie z widzami. Mimo to film jest urokliwy. Psychoza pięknej Julii — jednej, lecz w dwóch wcieleniach, przenika na drugą stronę ekranu. Tajemnicza, niezrozumiała dla nikogo historia młodej kobiety fascynuje widza. Jest to chyba dużej mierze zasługa grającej tytułową rolę Kathleen Turner (znanej u nas głównie ze spotykanego na videokasecie filmu „China Blue" oraz z wyświetlanego w polskich kinach „Peggy Sue wyszła za mąż"). Towarzyszą jej Gabriel Byrne, Gabrielle Ferzetti oraz znany muzyk i piosenkarz Sting, grający rolę fotografa. Reżyser Peter del Monte. Oryginalny tytuł filmu „Julia and Julia".

Janosik z Sycylii

Był sobie raz chłopak, który nikogo i niczego się nie bał. Gwizdał na władzę, śmiał się z mafii a działo się to na Sycylii. Chłopak nazywał się Salvatore Giuliano. Ten młody wieśniak stał się bohaterem ludowym Sycylijczyków. Okradał i mordował bogatych, wspomagał biednych. Jego śmierć w 1950 r. była tragiczna.

Film nie jest realistyczną opowieścią o życiu sycylijskiego Janosika i właściwie mało ma wspólnego z historyczną prawdą. Przenosi na ekran przede wszystkim psychologiczny obraz samotnika, walczącego ze źle urządzonym światem.

Nazwisko Salvatore Giuliano w uszach sycylijskich wieśniaków brzmi jak najpiękniejsza muzyka. Zdawał się o tym pamiętać odtwarzający główną rolę i świetnie do tej roli dobrany Christopher Lambert. Jest piękny i dzielny; a przy tym jak zawsze, szalenie seksy. Partneruje mu Barbara Sukowa. Reżyser Michael Cimino. Tytuł filmu „Sycylijczyk".

Ci niemoralni burżuje

Monsieur Legagneur jest ulubieńcem telewidzów. Jego show „Szczęście dla wszystkich" cieszy się dużą popularnością. Zarówno życie zawodowe, jak i życie prywatne pana Legagneur wygląda na uporządkowane i wzorowe.

Pewnego dnia pojawia się ktoś kto chce pisać biografię Legagneura. Jest to Roland Wolf, który faktycznie ma inne intencje. Zamierza on zburzyć idealny obraz telewizyjnego gwiazdora i zdemaskować go jako świnię, złodzieja i mordercę. Monsieur Legagneur takim jest w istocie, niestety.

Akcja zaczyna się jak filmowy savoir-vivre. Nienaganne maniery, uprzejmość, dobry gust, znakomita opinia, wszystko to cechuje głównego bohatera oraz ludzi z jego środowiska. Ten „dyskretny urok burżuazji" reżyser ściera brutalnie, odsłaniając bez skrupułów prawdziwe oblicze światka pana Legagneur i jemu podobnych, głęboko niemoralne, zakłamane i do gruntu złe. Świetna, jak zawsze, rola Philipe Noireta. Ponadto także Robina Renucciego, Anne Brochet i Bernadette Lafont. Reżyseria Claude Chabrol. Tytuł filmu „Maski".

FAN-6

Święto polskiej kultury

W Witebsku na Białorusi, od wielu lat współpracującym z Zieloną Górą, odbył się I Wszechzwiązkowy Festiwal Piosenki Polskiej poprzedzony obwodowymi i krajowymi przeglądami. Uczestniczyło 200 tysięcy piosenkarzy — amatorów, miłośników polskiej piosenki. W Witebsku wystąpili najlepsi.

Michaił Gorbaczow i Wojciech Jaruzelski przesłali posłania do artystów, organizatorów i widzów tej z ogromnym rozmachem zorganizowanej imprezy. „*Wasze święto* — stwierdził przywódca radziecki — *jest przejawem duchowego zbliżenia narodów radzieckiego i polskiego, ogromnego wzajemnego zainteresowania, o czym przekonałem się raz jeszcze podczas niedawnej wizyty w PRL.*" Natomiast przywódca Polski napisał m.in. „*Życzę wam, aby śpiewanie w Witebsku piosenki polskiej — podobnie jak w Zielonej Górze piosenki radzieckiej — stało się silnym akcentem naszej przyjaźni i wspólnoty działania. Aby budziły w nas radość i dobre uczucie, abyście — słuchając ich na ziemi białoruskiej — myśleli o Polsce, o naszych braterskich związkach i bliskiej współpracy*"

A początki tego braterstwa rodziły się niedaleko Witebska, na bitewnych polach pod Lenino.

Oglądając transmisje telewizyjne mogliśmy się przekonać, że życzenia obu przywódców spełniły się. Piosenka polska, podobnie jak radziecka u nas, cieszy się w Związku Radzieckim dużą popularnością. Festiwal w Witebsku, wzbogacony wieloma imprezami towarzyszącymi, stał się wielkim świętem kultury polskiej. Uczestniczyła w nim również delegacja województwa zielonogórskiego z wojewodą Zbyszko Piwońskim.

Nagrody Gorzowskie '88

Po raz siódmy wręczono Nagrody Gorzowskie. Otrzymali je: Andrzej Dański, długoletni, zasłużony pracownik kultury, obecnie dyrektor Miejskiego Międzyzakładowego Domu Kultury w Kostrzynie, aktywny działacz Towarzystwa Przyjaciół Kostrzyna, PRON — i innych organizacji, współorganizator tegorocznego Festynu „Gazety Lubuskiej", „Ziemi Gorzowskiej", „Nadodrza" i „Stilonu" połączonego z Dniami Kostrzyna; Bogdan J. Kunicki, socjolog, dziekan Zamiejscowego Wydziału filii AWF, prezes gorzowskiego oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich, zasłużony animator kultury, autor wielu publikacji; Bogdana Winnicka, zasłużony pedagog, nauczycielka wychowania plastycznego i technicznego w Drawnie, aktywna działaczka oraz zespół śpiewaczy Koła Gospodyń Wiejskich „Platerówki" działający przy Gminnym Ośrodku Kultury w Boleszkowicach, laureat wielu przeglądów artystycznych.

Order wdzięczności społecznej

Redakcja „Zielonego Sztandaru" ludziom szczególnie zasłużonym przyznaje „Ordery Wdzięczności Społecznej." Wśród siedmiu osób ostatnio udekorowanych jest Antonina Woźna, emerytowana nauczycielka, która w 1937 r. w Przyprostyni koło Zbąszynia założyła działający do dziś zespół regionalny. Dzięki długoletniej działalności Antoniny Woźnej, zasłużonej także w ocalaniu od zapomnienia miejscowego folkloru, Przyprostynia należy do najbardziej aktywnych kulturalnie wsi w województwie zielonogórskim. Zespół z Przyprostyni, wielokrotnie pod kierownictwem Antoniny Woźnej występował na dożynkach centralnych, na różnego rodzaju imprezach i przeglądach artystycznych, otrzymując nagrody i wyróżnienia. Antonina Woźna zebrała i opracowała materiały folklorystyczne „Wesele przyprostyńskie", które zostały wydane przez Wojewódzki Dom Kultury w Zielonej Górze. W roku ubiegłym zespół z Przyprostyni otrzymał Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki II stopnia za wybitne osiągnięcia w upowszechnianiu rodzimego folkloru.

Muzeum Odry

Przed paru laty znany dziennikarz Jerzy Kultuniak wystąpił z niezwykle interesującą inicjatywą utworzenia w kilku miastach nadodrzańskich Muzeum

Z nad Odrza

Odry. Po wielu dyskusjach inicjatywa ta zaczyna przybierać realne kształty. W przeddzień Święta Odrodzenia w zamku piastowskim w Głogowie otwarto jedną z kilku ekspozycji tego ogromnego Muzeum, które ma ukazać dzieje oraz ekonomiczną i kulturotwórczą rolę Odry „rzeki polskiego losu." Inicjator tego przedsięwzięcia w wywiadzie dla TV powiedział, że marzą mu się wycieczki statkami po Odrze, nie tylko młodzieży szkolnej, odwiedzające Muzeum Odry.

Tworzenie tego Muzeum, które ma nie tylko samym zwoleników, potrwa kilka lat.

Fama '88

Na XVIII Festiwalu Artystycznym Młodzieży Akademickiej w Świnoujściu główną nagrodę „Trójząb Neptuna" zdobył kabaret **„Drugi Garnitur"** z zielonogórskiej WSP, a aktorce tego zespołu **Joannie Chudej** przyznano stypendium twórcze. Tradycyjnie odbyły się warsztaty fotograficzne, w których uczestniczyli zaproszeni członkowie Studia Fotografii HYBRYDY oraz laureaci IV Ogólnopolskiego Przeglądu Fotografii Młodzieży Akademickiej — Szczecin '88. Wśród nich laureat I nagrody Bogdan Mistoń z Żar (student US Szczecin) oraz zdobywca jednej z dwu II nagród Zbigniew Pietraszkiewicz również z Żar (student zielonogórskiej WSP). Grupę warsztatową, którą kierował Jerzy Fedak, uhonorowano nagrodą im. Maksymiliana Szoca za *„twórcze wykorzystanie fotografii w działaniach plastycznych nawiązujących do najlepszych tradycji FAMY".*

Wystawy

W zielonogórskiej Małej Galerii eksponuje swoje prace przedstawicielka najmłodszego pokolenia artystów — plastyków Dorota Komar — Zmyślony, która ukończyła Szkołę Sztuk Plastycznych w Poznaniu specjalizując się w grafice książkowej. Uprawia malarstwo, grafikę artystyczną i użytkową. Dorota Komar — Zmyślony zaznaczyła się swoimi pracami na „salonach jesien-

Sceny miłosne w literaturze pięknej

MARGINALKI

O CZYM MARZY SZESNASTOLATEK. W „Szpilkach" (nr 27), które co dwa tygodnie proponują dodatek z „gołiznami" pt. „Playtboy", czytamy list 16-letniego Andrzeja z woj. konińskiego: *„Od dwóch lat składam fotografie z „Playtboya". Mam kilka uwag i propozycji..."* O czym marzy Andrzejek? Otóż, aby *„cały numer tygodnika był „Playtboyem", aby mógł oglądać najlepsze światowe akty, żeby miał do wglądu fotografie naturystek, aby mógł wpatrywać się w zagraniczne roznegliżowane Misski oraz oglądać damskie sporty „erotyczne"..."* A powiada ją, że młodzież mamy mało ambitną!

NAJPIĘKNIEJSZE W STROJU EWY. Listę najpiękniejszych w stroju Ewy sporządził Mirosław Koniarek z Chojnowa, publikując ją w tym samym numerze „Szpilek". Wśród 18 aktorek, które chciałby ujrzeć w całej krasie, nie ma, niestety Lubuszanek.

SENTENCJA NA CZASIE. I raz jeszcze te same „Szpilki" Józef Węgrzyn, dyrektor II programu TVP w rozmowie z Witoldem Fillerem stwierdza: *„Chciałbym uświadomić, jak powoli rośnie u nas kultura współżycia, a jak szybko — swoboda kontaktów między ludźmi. Krótko mówiąc: żeby dogonić świat nie wystarczy się rozebrać"!* Otóż to!

LUBUSZANIE WE WSPOMNIENIACH. W 5 zeszycie „Poezji", poświęconym anegdotom literackim, czytamy fragment wspomnień Mariana Jachimowicza, poświęconych Julianowi Przybosiowi: *„Przypomniałem mu, jak na pierwszym zjeździe pisarzy Ziem Odzyskanych w Dusznikach, po oficjalnym zakończeniu obrad, zebraliśmy się w kilka osób przy stole, na którym stanęła, z inicjatywy Przybosia, zdobyta gdzieś przez Koniusza, butelka wermutu. Toast bardzo uroczyście wzniósł lubiący przemawiać Tadeusz Kajan. Przy sąsiednich stołach uczestnicy zjazdu wstali z miejsc, patrząc w Przybosia więcej niż z szacunkiem. Kajan, szczupły młodzieniec blond, obdarzony dobitnym, aktorskim głosem, zawołał: „Niech żyje tu obecny Julian ...Tuwim!" Widząc uśmiechy konsternacji dodał: „Przepraszam — Julian Przyboś"...*

Nie mógł żadnym innym nazwiskiem bardziej „ucieszyć" Przybosia. Teraz — tu u mnie, przy wermucie — Przyboś śmiał się. Nie przypominam sobie jednak, aby śmiał się wtedy. Wtedy minę zostawił na twarzy poważną, jakby trochę zamyśloną, czekał z kieliszkiem wina — jakby nieobecny". Dobrze, że dzisiaj toasty bywają rzadkością.

STRACIĆ GŁOS W ZIELONEJ... GÓRZE... Pod takim tytułem Krystyna Gucewicz w „Szpilkach" (nr 28) publikuje tekst poświęcony tegorocznemu Festiwalowi Piosenki Radzieckiej: *„Straciłam głos, co Leszeczka sprowokowało od razu do niewybrednych dowcipów. Najpierw zapytał: czy głowę też, a potem (jako że siedzieliśmy w rzędach amfiteatru zielonogórskiego — deszcz, temperatura poniżej zera, wiatry zachodnie) wygłosił rzeczową skądinąd sentencję: nie masz głosu, jak oni.*

Oni — to oczywiście piosenkarze, a piosenkarze jacy są, każdy widzi. (...)

— Wie się. Ale kto miał głos?

— Superosobowości chyba nie odkryliśmy, ale i z Ameryką były kłopoty, nawet nie wiadomo, czy to Kolumb. Śpiewali na pewno na poziomie wyższym niż ci międzynarodowi w ub. roku w Sopocie, chociaż obecny tu i tu Wojciech Trzciński (a zaangażowany przez Witebsk) nie był teraz tak zadowolony jak wtedy". Bo przeszkadzały: deszcze, temperatury niskie i wiatry zachodnie.

W ZIELONOGÓRSKIEM? Miesięcznik „Sugestie" (nr 6) piórem Małgorzaty Kąkiel rekomenduje filmy na kasetach wideo, przydatne w partyjnej działalności szkoleniowej. Autorka pisze m.in. o filmie pt. „Zdać rachunek z włodarstwa swego": *„Ten film jest kolorowy dosłownie i w przenośni. Tytułowy włodarz to Edmund Apolinarski, dyrektor Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej w Osowej Sieni, w województwie zielonogórskim".* Cieszymy się że wreszcie powróciła do naszego województwa słynna Osowa Sień, do niedawna leżąca w obrębie województwa leszczyńskiego, co było zupełnym nieporozumieniem

„KAPET" NIE DO TAPET. W 26 numerze tygodnika „Veto" list Marty Zajączkowskiej z Gubina: *„Zainteresowanych klejem do tapet, pod rymującą się nazwą „Kapet", chciałabym przestrzec przed zakupem tego „specjału" Producentem jest Spółdzielnia Rzemieślnicza „Wytwórczość różna" — w Łodzi przy ul. Jaracza 3. Torebka „Kapetu" kosztuje 460 zł, ja potrzebowałam dwie. Niestety — 920 zł i tapetę za 3000 zł wyrzuciłam do kosza, bo w kilka godzin od operacji tapeta odpadła od ściany. Klej był świeży — wyprodukowany w marcu 1988, ale musi być niestety bublem, bo podobnych mnie „odpadkowiczów" było wielu. Uważajcie zatem na „Kapet"* Dziwimy się rozgoryczeniu mieszkanki Gubina. Przecież nazwa spółdzielni — „Wytwórczość różna" — wszystko wyjaśnia.

IRONISTA. Aleksander J. Wieczorkowski, były felietonista „Współczesności" i wielu innych kolejnych czasopism, teraz uprawia na łamach „Tygodnika Kulturalnego" eseistykę moralizująco-ironiczno-dydaktyczną. W numerze 28 pisma w tekście „ O słuszności inaczej" pisze m.in.: *„Resort* (Edukacji Narodowej — nasz przyp.) *obliczył, że na potrzeby zwijającego się kraju zupełnie wystarczy 7,5 tys. miejsc w liceach ogólnokształcących. Dla reszty przygotowano atrakcyjne propozycje: można np. uczyć się w liceum zawodowym na pracownika metra, co — jak sądzę — adresowane jest do młodzieży z ciągotkami do podziemia".* Omamy nawiedziły autora: kraj mu się „zwija" a metro kojarzy tylko z podziemiem (opozycyjnym?).

MYSTKOWSKI W „RES PUBLICE". W 3 zeszycie niezależnego miesięcznika „Res Publica" znajdujemy wiersze Waldemara Mystkowskiego: „Celnicy miłości", „Pożegnania" i trzeci najciekawszy z prezentowanych, niestety, opatrzony cenzorskim zapisem. Więc ani tytułu, ani treści nie znamy. Szkoda!

nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl Bohaterów Stalingradu 13, I p oraz adres dla korespondencji: 65-958 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefony, redaktor naczelny i sekretariat 708 35 sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46 61 do 7 (łączy telefony wewnętrzne) Telex 0432258 Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Leszek Hermanowicz (red. graf. tech), Janusz Koniusz, (red. naczelny), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. nacz.) Wiesław Nodzyński (sekretarz

70 LAT ODRODZONEJ POLSKI

WAKACYJNY KONKURS NASZEGO PISMA

Główna nagroda: dwuosobowe wczasy świąteczno-noworoczne w Karkonoszach ufundowane przez Biuro Podróży „Lubuszanin" w Zielonej Górze. Ponadto wiele nagród rzeczowych i książkowych, które fundują Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy i Lubuskie Towarzystwo Kultury w Zielonej Górze.

1 Samouk. Skazany w procesie brzeskim na 1,5 roku więzienia. Po powrocie z emigracji w Czechosłowacji w 1939 roku oświadczył: „Jakkolwiek nie myśmy zawinili obecnemu stanowi, wszyscy i wszelkimi środkami będziemy bronić przed każdym najeźdzcą nie tylko naszej niepodległości, ale każdej grudki ziemi". W czerwcu 1945 r. powołany na jednego z wiceprezydentów Krajowej Rady Narodowej. Na łożu śmierci wezwał chłopów polskich by ofiarnie i solidarnie włączyli się do odbudowy zniszczonej ojczyzny.

Pytanie: **Wymień jego imię i nazwisko.**

REGULAMIN

Konkurs składa się z czterech zestawów pytań. Dwa opublikowaliśmy w poprzednich numerach, ostatni opublikujemy w następnym numerze „Nad odrza". Aby wziąć udział w losowaniu nagród, wystarczy prawidłowo odpowiedzieć na pytania zawarte w jednym tylko zestawie — wyłącznie na drukowanym niżej kuponie. Nadesłanie większej ilości kuponów (także w jednej kopercie) zwiększa szansę w losowaniu nagród.

Wypełnione kupony prosimy przesyłać na adres: Redakcja „Nadodrza", 65-958 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40, z dopiskiem „Konkurs wakacyjny" Czytelnicy, którzy nie zechcą czekać na ostatni zestaw pytań, mogą zaraz nadsyłać odpowiedzi a ich przyjmowanie zakończymy 20 września br. Wyniki losowania nagród ogłosimy w numerze 20/677, który ukaże się z datą 2-15 października br.

Życzymy powodzenia!

2 Legionista. W latach 1922—23 premier i minister spraw wojskowych. W rozmowie z marszałkiem Stalinem na Kremlu powiedział, że „patriotyzm Polaków nie potrzebuje zaświadczeń". Autor wielu prac dot. historii i teorii wojskowości.

Pytanie: **Podaj jego ostatni stopień wojskowy, imię i nazwisko oraz dwie najważniejsze funkcje, jakie pełnił w chwili śmierci.**

3 Urodził się w 1905 roku. Z zawodu ślusarz. Aktywny działacz Związku Zawodowego Robotników Przemysłu Chemicznego. Od 1926 r. w KPP. W 1932 r. organizator strajku włókniarzy w Łodzi. W tym samym roku aresztowany i skazany na 4 lata więzienia, z którego został przedwcześnie zwolniony na skutek złego stanu zdrowia. W 1936 r. sekretarz Komitetu Okręgowego KPP w Katowicach. Tu ponownie aresztowany i skazany na 7 lat. We wrześniu 1939 r. wydostał się z więzienia w Sieradzu. Walczył w obronie Warszawy. Po kapitulacji stolicy w Białymstoku i we Lwowie. Współorganizator PPR na Podkarpaciu. W okresie okupacji m.in. sekretarz Komitetu Warszawskiego PPR. Autor wielu publikacji w podziemnej i powojennej prasie partyjnej. Członek delegacji polskiej, która na Konferencji Poczdamskiej zabiegała m.in. o ustalenie zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Pytanie: **Podaj jego imię i nazwisko oraz pseudonim okupacyjny.**

4 „Stwierdziłem z wielką radością wspaniałe wyniki, jakie Pan Generał osiągnął w pracy prowadzonej w warunkach tak tragicznych Nadal Pan Generał działalności wojskowej w kraju kierunek właściwy, zmierzający do zjednania całokształtu poczynań wojskowych nad odbudową Sił Zbrojnych dla wywalczenia Niepodległości". Nadawcą tego listu, którego fragment tu publikujemy, napisanego w lutym 1942 r. był gen Sikorski.

Pytanie: **Kto był adresatem. Podaj jego imię, nazwisko, pseudonim oraz ostatnie stanowisko, które pełnił w konspiracji zbrojnej.**

nadodrze
ROzrywki umysłowe

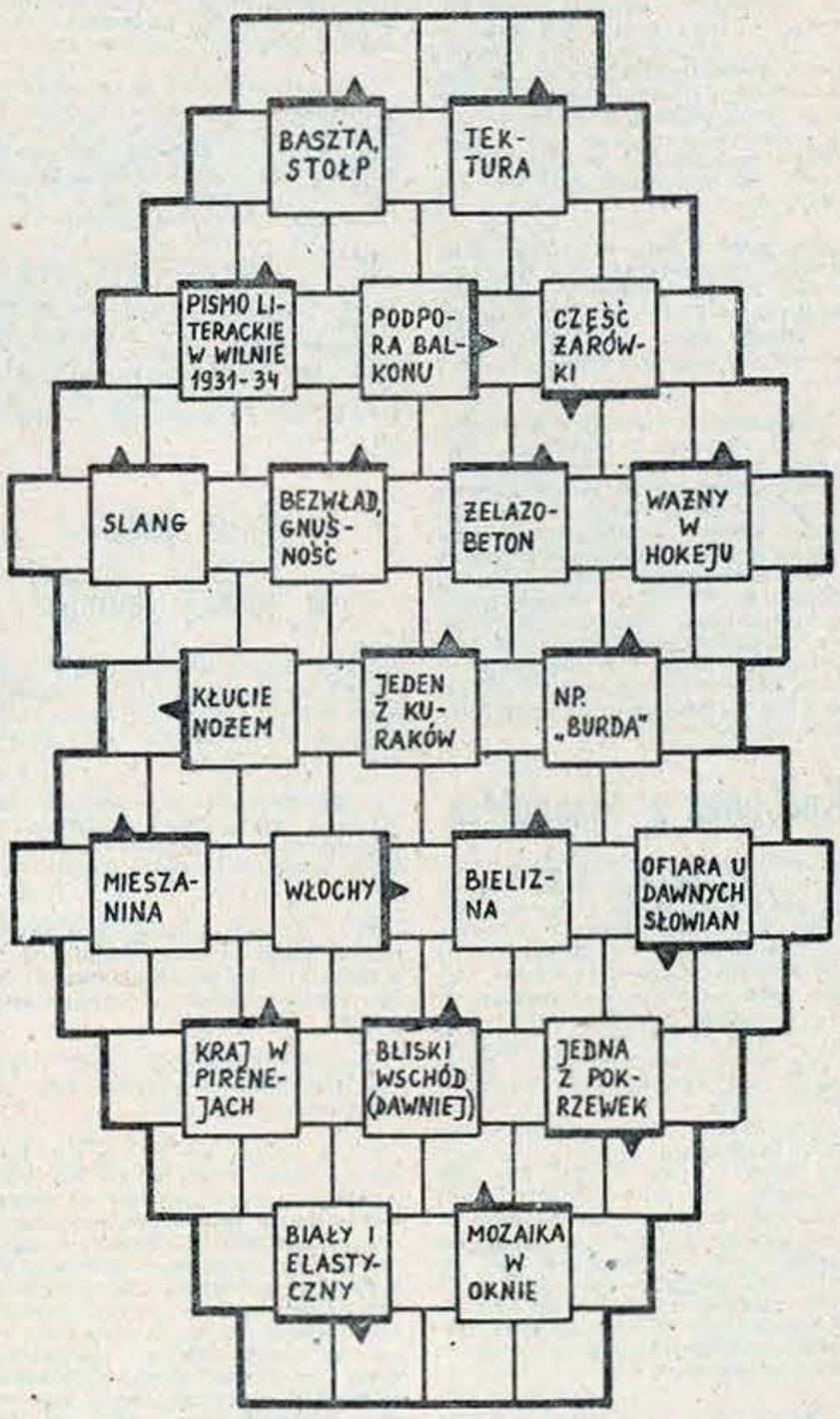

WIRÓWKA

Oprac. WIESŁAW PYŻEWICZ

ZIELONOGÓRSKI KLUB SZARADZISTÓW „LABRYS"

Kierunek wpisywania wyrazów prawoskrętny. W rozwiązaniu wystarczy podać, ile razy w diagramie wirówki występują litery: T, U, Z. Wśród Czytelników, którzy nadeślą odpowiedzi na adres naszej redakcji w terminie dwóch tygodni od daty ukazania się numeru, z naklejonym na kopercie zamieszczonym poniżej kuponem, rozlosujemy dwie nagrody książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 14

Hasło: „Niedostatek to bardzo kosztowna sprawa".

Nagrody książkowe wylosowali: **Anna Glabas** zam. ul. Kasprowicza 8, 66-210 Zbąszynek oraz **Józef Piotr Wrona** zam. ul. Królewska 7/9, 20-109 Lublin. Gratulujemy.

KUPON nr 16
ROZRYWKI UMYSŁOWE

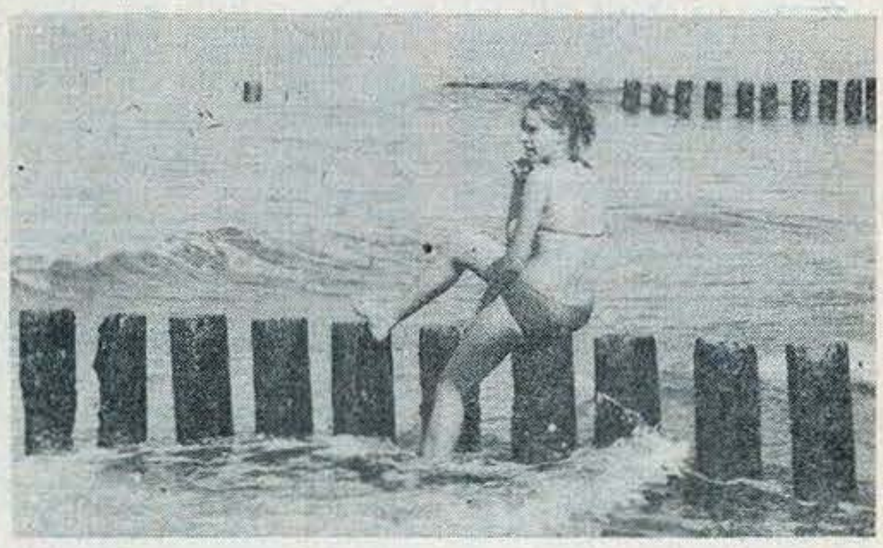

Fot.: K. SZMAJS

Strefy ochronne

Pestawy